23

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 23

?

TERESA JADWIGA

RYCERZ BŁĘKITNY

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

KRAKÓW. DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Była to izba obszerna, widna, dostatnio i wygodnie urządzona, ale bez zbytku. Modrzewiowe jej ściany nie były malowane, ani też złotogłowiem [1]) lub adamaszkiem obite, co często spotykało się na dworach ówczesnych panów; na jednej ze ścian widać było portrety kilku królów z rodu Jagiellonów, na drugiej rozwieszony był pyszny kobierzec wschodni. Po obu stronach tego kobierca wisiały rozmaite bronie: szable w jaszczur [2]) oprawne, łuki i siekiery, a także pancerze i hełmy żelazne. Wokół izby pod ścianami stały ławy dębowe, wygodne, duże, a na nich leżały jedwabne poduszki; wpośrodku stał stół długi, ciemnem suknem przykryty, między oknami wysoka dębowa szafa, bogato rzeźbiona, z blatem szerokim, na którym piętrzyły się srebrne talerze i półmiski, stały dzbany i świeczniki.

---

[1]) Złotogłów — materja, złotem lub srebrem przetykana.

[2]) Jaszczur — skóra ośla lub końska, wyprawna chropowato, na wzór jaszczurczej.

Wszystko, co tu się znajdowało, było piękne, kosztowne, a poważne, zarówno jak młoda dziewczyna, która pod jednem z okien przędła pilnie na kołowrotku. Ciemny jej strój, gładko zaczesane czarne włosy, ciemną wstążką związane, świadczyły o tem.

Jesień już ogołociła ogrody z zieleni, już szare chmury rozpostarły się na błękitach, ale w tej chwili mimo to świat był piękny: zachodzące słońce rzucało krwawe promienie ziemi i zarumieniły się od nich zżółkłe trawy łąk, szare obłoki się ożywiły, a wróble, jakby czuły tę piękność przyrody, świegotały głośno; lecz ta, co przędła na kołowrotku, ani na chwilę nie odwróciła oczu od cienkiej nitki, którą ustawicznie kręciła w palcach. Za oknem wróble świegotały, w pokoju kółko kołowrotka warczało, a ciemnowłosa dziewczyna milcząca, nieruchoma, spokojna, siedziała wciąż, pilnie pochylona nad robotą. Wtem poza drzwiami, wiodącemi do przyległej izby, rozległ się głos miły, wdzięczny, wesoły.

»Pojedziemy na łów, na łowy
Towarzyszu mój
Do zielonej dąbrowy...«

Ktoś śpiewał, i w tej chwili drzwi rozwarły się z hałasem, a w progu ich ukazała się młoda dziewczyna, stanowiąca zupełny kontrast z tą, która siedziała przy kołowrotku: w oczach jej, na czole, na rumianych ustach, w całej postaci malowało się szczęście, swoboda. Gdy weszła, zdawało się, że promyk słońca wpadł za nią do izby, że stało się

w niej jaśniej, weselej. Strój cały miała też odpowiedni sobie: błękitny stanik, kwiecistą spódnicę i korale na szyi, we włosach jasne wstęgi; a włosy te złociste, bogate, puszczone w dwa warkocze, wiły się w tysiące drobnych zwojów i jakby koronę koło jej młodego czoła tworzyły; a na tem białem, gładkiem czole widno było, iż nigdy jeszcze ani na jedną przelotną chwileczkę żadna troska nie osiadła. Szczęśliwa to była dziewczyna.

Stanęła w progu, spojrzała na siedzącą przy kołowrotku, przerwała piosnkę i klasnęła w dłonie.

— Jak widzę, pani siostra ani myśli o tem, że lada chwila goście zajechać mogą — rzekła tonem wymówki. — Przecież dziadunio sam nie powróci, ręczę, że całą drużynę myśliwską sprowadzi. Pewno i kasztelan[1]) z synem, i pan wojski[2]), a może i Sędzimirowie na wieczerzę zjadą; przecież w naszych lasach mieli polować, dziadunio ich o głodzie nie puści.

Zawarczało głośniej kółko kołowrotka, jakby zagniewane i zatrzymało się; ta, która przy niem siedziała, podniosła zwolna głowę.

— Więc cóż z tego, że przyjadą? — spytała poważnie.

— Trzeba przecie, byś się do gości przybrała — odparła żywo jasnowłosa — trzeba do wieczerzy przygotować; jam pomogła kucharzowi sporządzić

[1]) Kasztelan — wysoki urząd w dawnej Polsce, — pierwotnie przywódca załogi grodowej i sędzia.

[2]) Wojski — opiekun kobiet i dzieci rycerstwa podczas wojny.

pieczyste, które tak lubi pan wojski, dla dziadunia pomyślałam o małdrzykach [1]), teraz dla kasztelanica wydam z apteczki [2]) różne specjały. To zepsuty, wytworny panicz, wiecznie chwali wszystko, co obce, nie do smaku mu nasze potrawy, nie lubię go za to; a ty, Regino, jakie twoje zdanie o nim?

Regina, takie było imię ciemnowłosej dziewczyny, uśmiechnęła się pobłażliwie do siostry.

— Jak też ty lubisz dużo mówić, Alino — rzekła.

Alina zarumieniła się.

— Ale bo widzisz, siostruniu, ile razy kasztelanic jest u nas, zawsze słyszę, jak gani wszystko, co nasze, a niemieckie wychwala. Otóż dzisiaj przygotowałam taką wspaniałą wieczerzę, że chyba niemieckich przysmaków chwalić nie będzie. Trzeba tylko jeszcze stół nakryć, sama się tem zajmę, żeby wszystko było, jak należy.

To mówiąc, poskoczyła do kredensu i otworzywszy go, wyjęła biały obrus, by nim stół zasłać.

»Pojedziemy na łów, na łów
Ej na łów, na łów...«

Poczęła znowu śpiewać. Regina podeszła także do szafy, wzięła kilka srebrnych talerzy, i kiedy Alina śpiewając zasłała stół, ona ustawiła rzędem talerze.

— Pewno z dzikiem powrócą — odezwała się

---

[1]) Małdrzyki — ciastka z sera.
[2]) Apteczka — spiżarka na przysmaki.

znowu Alina, przerwawszy naraz piosenkę; — już ich słyszę, jak zajeżdżają: konie rżą, koła turkoczą, trąby myśliwskie grają, psy szczekają; a kiedy wejdą, to pokłonią się nam nizko, skrwawionego dzika złożą u stóp naszych i powiedzą: »Ta zdobycz do waszmościanek należy, a my zato na wieczerzę się wpraszamy«. Stary Grzegorz pokiwa głową i szepnie: »Wielka mi sztuka ubić dzika, to fraszka dla mnie. Kiedy byłem z nieboszczykiem wojewodą w Palestynie, biliśmy tam lwy i lamparty, to mi rzecz«. Czy ty wierzysz jego opowiadaniom? czasem takie dziwy plecie.

Regina uśmiechnęła się znowu z politowaniem.

— Plecie tym, co lubią bajek słuchać — rzekła — mnie nigdy takich rzeczy nie rozpowiada.

— Bo nie śmie, ciebie, siostruniu, wszyscy szanują, jakbyś matką moją była, i boją się nieledwie jak dziadunia. Ja sama, gdy spojrzysz czasem na mnie surowo, to spuszczam oczy i nie wiem, co robię, co mówię; a przecież zaledwie cztery lata starsza jesteś ode mnie, mnie liczą piętnaście, tobie dwadzieścia. I Wacław, choć ma już lat 18, także ciebie szanuje jak matkę. Ach, siostruniu, kiedy on powróci? Czy nie było jeszcze wieści z pola bitwy?

— Nie było jeszcze — odparła Regina — pytałam dziś rano dziadzi, mówił, że dotychczas nie miał żadnych.

Alina westchnęła i nagle posmutniała, lecz na jedną przelotną chwilę, wnet rozjaśniła czoło i uśmiechnęła się.

— Czemu kasztelanic z hetmanem nie po-

szedł? — poczęła drwiącym tonem — pewnikiem strzał tureckich się przeląkł. Jaki nasz Wacław niepodobny do niego, w niczem niepodobny, — dodała z dumą. — Kasztelanic blady, nędzny, zawsze z cudzoziemska ubrany; ciekawam, jaki dzisiaj strój przywdział, czy grafa niemieckiego, czy granda hiszpańskiego? Nasz Wacław zawsze w zwykłem ubraniu, o, jak mu w niem pięknie! Pamiętasz go, jak siedział na gniadoszu, jak z konia ręką słał nam pocałunki... Z oczu łzy mi ciekły, że go żegnam, że odjeżdża, ale serce rosło dumą...

Tu nagle urwała, drzwi, wiodące do sieni, rozwarły się z hałasem, i chłód jesienny wleciał do izby. Dziewczęta drgnęły, postawiły talerze, jakie trzymały w ręku i obie jednocześnie obróciły się tam, skąd hałas doleciał. W progu stał mężczyzna okazały, wyniosły jak dąb, zdawał się głową pułapu[1]) sięgać, a głowa ta była biała, jak u gołębia. Siwa jego broda spadała niemal do litego[2]) pasa, ściskającego karmazynowy kontusz. Stanął w progu, podniósł głowę wyniośle i posępnym wzrokiem powiódł wokoło; bogaty, sobolami podbity płaszcz zsunął mu się z jednego ramienia i tarzał po ziemi; w ręku trzymał sobolowy kołpak, przy którym chwiało się pióro czaple, bo ręka, co kołpak trzymała, drżała jakoś dziwnie.

Uśmiech skonał na ustach Aliny: stojący w progu był jej dziadkiem. Inaczej wyobrażała

---

[1]) Pułap — sufit belkowany.
[2]) Lity pas — złotem lub srebrem przetykany.

sobie jego powrót. Wojewoda[1]) Pożarski zjawił się w domu tak nagle, tak niespodzianie, przyjechał sam, bez drużyny, stanął w progu taki groźny i ponury, iż przeczucie nieszczęścia ogarnęło naraz swawolne dziewczę. Nieśmiało, bojaźliwie zbliżyła się do dziadka, pochyliła się do jego ręki i złożyła na niej korny pocałunek.

— Dziadunio sam! — szepnęła, zdejmując z jego ramienia płaszcz.

Wojewoda nic jej nie odpowiedział, w milczeniu postąpił dalej, powitał w przechodzie starszą wnuczkę pocałunkiem w czoło i skierowawszy się ku jednej z ław, padł na nią raczej, niż siadł, rzucił czapkę na stronę i ręce załamawszy, zadumał się głęboko. Tysiące zmarszczek zbiegło się na jego wyniosłem, dumnem czole, siwe oczy posępnym blaskiem świeciły... Cisza zaległa izbę, cisza długa, męcząca. Wylękłe dziewczęta nie śmiały się odezwać, nie śmiały się ruszyć, stały na środku izby blade, spłoszone, to na siebie pytająco patrzyły, to na dziadka, nie pojmując, co mu jest.

Rano wyjechał zdrów i wesół, powiedział, że jedzie na polowanie, że z gośćmi na wieczerzę powróci. Cóż się tedy wydarzyło, co pomieszało jego zamiary?...

Nareszcie wojewoda ocknął się, podniósł głowę i ręką przetarł czoło.

— Zbliżcie się do mnie — rzekł głuchym głosem.

---

[1]) Wojewoda — wysoki urząd w dawnej Polsce, wódz najwyższy w województwie.

One postąpiły razem, trzymając się za ręce; lękały się czegoś, ale czego, same nie wiedziały.

Wojewoda podniósł na nie wzrok smutny, chwilę milczał jeszcze, poczem krótko, posępnie wyrzekł:

— Nie macie już brata...

— Zginął! — krzyknęły jednocześnie obie siostry. Regina pobladła, splotła ręce i stanęła jak posąg nieruchoma, tylko dwie łzy wielkie, przezroczyste, które toczyły się zwolna po jej twarzy, świadczyły, że to nie posąg, że ona bardzo cierpi. Alina z głośnem łkaniem przypadła do nóg wojewody i ukryła twarz na jego kolanach; on nie ruszył się, nie pochylił ku niej z pieszczotą, tylko ciągnął dalej, wciąż jednakowo posępnie:

— Nie macie już brata, nie zobaczycie go już więcej nigdy, nie przestąpi już nigdy progu tego domu, nigdy te mury oglądać go nie będą, nigdy imienia jego nie posłyszycie więcej, bo go moje usta nigdy nie wymówią...

Alina głośniej jeszcze załkała.

— Otrzyj łzy, zapanuj nad żalem, co ci serce rozrywa — przemówił surowo wojewoda — Bóg doświadcza różnie, z wolą Jego zgodzić się trzeba. Wstań i pójdź się pomodlić, a zapamiętaj, co ci jeszcze powiem: Wam także zabraniam wymawiać imię brata waszego, nie chcę go słyszeć więcej. A biada temu, kto przy mnie je wymówi!

Alina przestała nagle płakać, podniosła głowę i splótłszy ręce, odstąpiła parę kroków od dziadka, jakby go się zlękła. Wydał się jej straszniejszym jeszcze niż wieść, jakiej przed chwilą udzielił.

Wojewoda nie widział jej w tej chwili, obrócił wzrok ku starszej wnuczce.

— Regino — rzekł — powiesz służbie, aby wyniosła wszystko z jego izby do lamusa; wiesz z czyjej? Potem drzwi zamkniesz i klucze mi oddasz. — To powiedziawszy, podniósł się:

— Podaj mi ramię i odprowadź — dodał — z wieczerzą nie czekajcie na mnie.

Regina zbliżyła się do dziadka nieśmiało, on położył rękę na jej ramieniu i skierowali się oboje ku alkowie [1]), gdzie sypiał wojewoda. Alina powiodła za nim wystraszonym, pełnym rozpaczy wzrokiem...

Dziadek i Regina zniknęli niebawem za ciężką, adamaszkową oponą, kryjącą drzwi do sypialni. Alina jęknęła i rzuciwszy się na ławę, w pobliżu stojącą, wybuchnęła nanowo spazmatycznym płaczem i płakała długo, lecz nikt nie przyszedł złagodzić jej boleści. Pierwszy to był cios, jaki ją spotkał w życiu... Wprawdzie rodziców już nie miała, ale pomarli, gdy w kołysce jeszcze była, więc nie mogła uczuć tej straty, a dziadek otoczył ją taką opieką i miłością, miała tak troskliwą, dobrą piastunkę w starej Magdalenie, której zlecił ją wojewoda, starsza siostra i brat tyle serca jej okazywali, że sieroctwo nigdy nie było dla niej ciężarem. Była dotychczas dzieckiem szczęścia... a gdy boleć przyszło, nie umiała znieść ciosu spokojnie i oddała się rozpaczy. Słońce już całkiem zaszło.

---

[1]) Alkowa — pokój bez okna.

zmrok izbę ogarnął, głucho tu było, cicho, a w tej ciszy płacz dziewczęcia rozlegał się jeszcze głośniej.

— Alino, chodź do świetlicy [1]) — przemówił nakoniec ktoś do płaczącej. To Regina wreszcie powróciła, zbliżyła się do siostry, objęła ramieniem i do piersi przycisnęła czule, jak matka dziecko.

— Chodź — rzekła — pójdziemy do siebie, pomodlimy się, Bogu wszystko oddamy na ofiarę. Nie płacz tak głośno, tam u dziadka wszystko słychać; gdybyś wiedziała, jak on cierpi! Chodź, on cię słyszy, płacz ten bardziej jeszcze krwawi mu serce.

I podniosła łkającą i powiodła z sobą. Alina nie opierała się; ukrywszy twarz na ramieniu Reginy, by stłumić łkanie, skierowała się do sypialni.

Dwa łóżka biało usłane, nad niemi posąg Matki Boskiej, na półce stojący, przed nim szklana lampka, migocąca bladem światłem. Regina poprowadziła Alinę do jednego z łóżek, posadziła ją i sama miejsce obok niej zajęła, a gładząc jasne włosy siostry, usiłowała ją uspokoić.

Alina podniosła zwolna głowę.

— Regino — rzekła — ty wiesz wszystko: Wacław żyje, wszak prawda?

Regina się zawahała.

— Żyje — rzekła po chwili; prawa jej natura kłamać nie umiała. — Żyje — powtórzyła z westchnieniem, — lecz dla nas stracony, nie zobaczymy go więcej.

— Czy do niewoli wzięty?

---

[1]) Świetlica — widna izba.

— Nie.

— Więc cóż się z nim stało?

— Nie pytaj, zaklinam cię, mnie mówić o nim nie wolno, wszakżeś słyszała, co dziadek powiedział. Imienia jego nie mamy wspominać.

— Potrafisz to wypełnić? — spytała Alina.

— Muszę — odparła starsza siostra — dziadek tego żąda.

— Ależ to rozkaz nie do wykonania!

— Dziadek żąda stanowczo, wykonać musimy.

— Lecz dlaczego żąda?

— Męczysz mnie, Alino, przestań pytać, bo odpowiadać nie mogę.

Alina ręką czoło potarła.

— Nie! ja śnię chyba — szepnęła jakby do siebie. — To wszystko takie straszne, iż pomieścić mi się w głowie nie może. Powiadasz, że żyje; powiadasz, iż nie dostał się do niewoli, a mimo to nie zobaczymy go nigdy i nie wolno nam o nim mówić, i nie wolno o niego pytać, wspominać go.. Jakaś okropna tajemnica ukrywa się w tem wszystkiem... Regino, ja tego położenia nie zniosę, ty musisz powiedzieć mi prawdę, lub co dzień, co godzina, co chwila będę pytała o niego; będę cię nudzić, męczyć, aż wynudzę, wyproszę, wymodlę tajemnicę.

Regina zmarszczyła czoło.

— A więc powiem ci prawdę, kiedy chcesz koniecznie, — rzekła surowo — powiem wszystko, lecz pamiętaj, co usłyszysz, schowaj tam w głębi serca na dnie, aby nikt, nikt na świecie nie do-

wiedział się o tem... On skalał nasze gniazdo, rzucił plamę na ród Pożarskich; on zhańbił nasz dom.

Alina twarz ukryła w dłoniach, nie pytała już więcej. Regina również cicho siedziała. Naraz poza oknami izby rozległ się jakiś tętent, a z nim jednocześnie rżenie rumaka, potem tętent ucichł, ktoś zatrzymał się widocznie przed domem, bo parskanie rumaka nie ustawało.

Alina drgnęła, położyła rękę na ramieniu siostry.

— Regino, to on, to jego koń, — rzekła stłumionym od wzruszenia głosem, — o, ja znam doskonale rżenie karego! — To mówiąc, pobiegła żywo ku drzwiom, Regina pospieszyła za nią.

— Dokąd idziesz? — spytała surowo.

— Na dziedziniec, — odparła Alina, — tam Wacław czeka.

— Wacława już niema, pamiętaj o tem, co dziadek powiedział.

— Ja go chcę tylko zobaczyć, tylko słóweczko rzucić mu na pociechę, chcę tylko zapytać, gdzie się uda? Co z sobą zrobi? Pozwól mi iść, siostrzyczko?

Lecz Regina była nieubłagana.

— Chcesz więc zakaz dziadka złamać, chcesz, aby i na nas się pogniewał, — na to nie zezwolę.

— A ty chcesz, aby mu serce z żalu pękło? Puść mnie do niego, Regino, błagam cię, miej litość nad nim.

— On nie wart litości.

Alina spojrzała zdumiona na siostrę.

— Czy ty go już nic nie kochasz? — spytała.

— Przestań wstawiać się za nim. Ważniejsze straty mamy do opłakiwania. Wojska nasze rozbite, część poległa na polach Cecory, część wzięta do niewoli, hetman Żółkiewski nie żyje, a ty nad jednym płaczesz, i to nad tym, który jednej łzy nie wart... Jemu się nic nie stanie; gdyby nas kochał, nie zhańbiłby rodu naszego...

— Regino, miej ty choć trochę serca dla niego, tyś przecie najstarsza z nas, tyś mu matką być winna. Posłuchaj, jak wicher świszcze na dworze, jaka straszna zawieja, on może niema gdzie głowy na noc złożyć, on głodny może, obcemu przytułku byś nie odmówiła.

— I znowu jęczysz jak kawka, przestańże raz — odparła niecierpliwie Regina.

Lecz Alina nie ustępowała, usunęła się do nóg siostry.

— Błagam cię na kolanach — mówiła głosem, w którym łzy drżały, — puść mnie do niego, pozwól iść.

— Nie mogę, — odparła Regina, — przyrzekłam dziadkowi posłuszeństwo.

Alina podniosła się.

— Więc dozwolisz bratu odjechać bez pożegnania? — spytała.

— Brata już nie mam; zamiast męczyć mnie prośbami, zdejm te jasne suknie, Alino, one nie przystoją dziś tobie, dostań ciemne, włóż żałobę po bracie, a gdy kto o niego spyta, rzeknij, iż umarł.

— Okropność! — szepnęła Alina.

Regina zaryglowała drzwi i wyszła z pokoju.

Młodsza siostra natychmiast rzuciła się do okna, lecz nic nie ujrzała. Rżenie tylko rumaka, rozlegające się kiedyniekiedy, świadczyło, że jeździec jeszcze nie odjechał, że czeka, że ma jeszcze nadzieję. Postała chwilę w oknie z rękami spleciononemi, poczem naraz, jakby powzięła jakieś postanowienie, przeszła śpiesznie sypialnię i skierowała ku nizkim drzwiczkom, które było widać po prawej stronie, — pchnęła je, rozwarły się.

Mały kaganek, zawieszony u pułapu, oświecał niewielką komnatkę, stało w niej łoże wysoko zasłane, a obok niego w wielkiem krześle siedziała staruszka tak sędziwa, iż pewno ze sto lat liczyła. Twarz jej żółta, pokryta była siecią zmarszczek, siwa głowa chwiała się nieustannie, plecy miała zgięte w półkole, oczy nawpół przymknięte. Drżącemi rękami przebierała paciorki różańca i szeptała półgłosem pacierze.

Skrzypnięcie drzwi zwróciło jej uwagę, podniosła z trudnością chwiejącą się głowę i uśmiech przyjazny okolił jej usta.

— Turkaweczko moja, — rzekła pieszczotliwie — z czemże to przychodzisz do starej, czy z wieścią jaką, czy z przysmakiem? bo ty zawsze dobra dla starej piastunki.

— Dziś ani z jednem, ani z drugiem, — odparła Alina, zamykając za sobą drzwi. — Przychodzę was o coś prosić, Magdaleno; — to mówiąc, przysiadła u nóg staruszki i położywszy białe dłonie na jej pomarszczonych rękach, podniosła na nią wzrok smutny. — Wychowałaś, Magdaleno, naszą babkę, matkę i nas troje, — poczęła cichym,

nieśmiałym tonem, — musisz mieć wiele doświadczenia, przyszłam cię prosić o radę i o coś jeszcze, — teraz oczy jej patrzały niespokojnie, snać lękała się wypowiedzieć swą prośbę.

Magdalena, która u wojewody jako piastunka jego synowej a potem wnucząt, chleb łaskawy miała, pochyliła się troskliwie do dziewczęcia. Alina z trojga wychowanków najmilszą jej była, bo też to było takie słodkie, takie dobre dziecię, iż nikt oprzeć się jej nie potrafił.

— Smutny mi czegoś mój aniołeczek, — rzekła stara, drżącą ręką gładząc włosy dziewczęcia. — Powiedzże mi, jakiej chcesz rady.

Alina głowę na piersi spuściła.

— Trzeba mi rady, ale z serca płynącej, — szepnęła drżącym głosem — tego, co powiem, nikt na świecie wiedzieć nie powinien, nawet głośno mówić się obawiam.

To rzekłszy, podniosła się nawpół, i szeptać poczęła, pochylona do ucha piastunki.

Spowiedź długo trwała, Magdalena wzdychała, ocierała łzy ręką, wstrząsała głową, ale słuchała, nie przerywając. Wreszcie Alina skończyła, splecione ręce opuściwszy na kolana, pytające spojrzenie zatrzymała na starej, czekała rady, odpowiedzi. Magdalena wyciągnęła drżącą, pomarszczoną rękę, położyła ją na głowie dziewczęcia.

— Niech Bóg błogosławi twoim zamiarom — rzekła głosem uroczystym — czyń, jak ci serce mówi: miłością czasami zbawić można, zbytnią surowością zgubić łatwo. Bądź spokojna, on się o to gniewać nie będzie.

Alina schwyciła rękę starej i do ust ją podniosła.

— Więc mi pomocy nie odmówisz, uczynisz to, o co prosiłam?

— Uczynię z pewnością, lecz teraz idź i połóż się; jutro zbudzę cię równo ze świtem.

Alina uścisnęła piastunkę, poczem powstawszy, wysunęła się z izdebki. Regina już leżała, czy spała, czy udawała, trudno to było odgadnąć, oczy miała zamknięte. Alina pochyliła się nad nią, wpatrzyła w jej lica.

— I ona spać może! — szepnęła.

To powiedziąwszy, podeszła ku oknu i znowu próbowała spojrzeć przez zapotniałe szyby, lecz i teraz nic dojrzeć, ani usłyszeć nie mogła.

— Odjechał — rzekła półgłosem sama do siebie. Łzy wielkie polały się z jej oczu, lecz wnet je otarła i poszła uklęknąć przed posążkiem Matki Boskiej, poszła prosić o błogosławieństwo dla swych zamiarów.

Gdy nazajutrz Regina, zbudzona blaskiem słonecznym, otworzyła oczy, już Aliny nie było w sypialni; nie zdziwiło to jednak starszej siostry, przyzwyczajona była do tego. Alina zwykle wcześniej wstawała, lubiła bowiem przed śniadaniem spojrzeć na świat Boży, na łąki, na pola, nawet zima nie zawsze odstręczała ją od tych wycieczek, a teraz był dopiero październik.

II.

Na samej granicy Złotopola, rozległej wsi Poreckiego, tuż pod ciemnym borem, wznosiła się na rozstaju dróg gospoda; liczni podróżni, co tą drogą przejeżdżali, witali zdaleka tę gospodę uśmiechem, bo pewni byli, iż znajdą w niej wygodny odpoczynek i posiłek smaczny, a nawet posłyszą, co słychać na świecie, o czem mówią, nad czem radzą w stolicy, co król porabia, co sejm nowego postanowił. Gospoda była znana szeroko, a właścicielka jej, Marta, uchodziła za kobietę zamożną i używała wielkiego poważania; mówiono o niej, że nietylko szkatułkę, lecz i głowę ma pełną. Pani Marta nietylko rozumną była kobietą, lecz i miłosierną wielce, a że znała się na lekach, więc dużo dobrego świadczyła ludziom. Do niej we wszelkiej potrzebie uciekali się mieszkańcy Złotopola i sąsiednich wiosek. Gdy kto zaniemógł, wzywał jej do pomocy; gdy kogo los pokrzywdził, do niej o radę się udawał. Wzywano ją też do dworu, kiedy które z dzieci zasłabło. Wojewoda ufał jej i szanował.

Ranek był pogodny, słońce dopiero co przedarło się przez mgły jesienne i pierwsze promienie rzuciło ziemi: zbudziły się ptaszęta, chórem zaszczebiotały wesoło, zbudzili się mieszkańcy Złotopola i krzątać się poczęli. Bez względu na lat sześćdziesiątkę, wstała Marta przed świtem i krzątała się żywo.

Sprzątając izbę gościnną, raz po raz spoglą-

dała na drzwi boczne, z za których żaden głos nie dolatywał, chociaż było jej wiadomo, że w nocy, gdy ona już spała, przybył jakiś gość młody i zamknął się w izbie z pachołkiem.

Kto to był taki, nikt z będących w gospodzie nie mógł odgadnąć. Wyglądał na zamożnego rycerza, dlaczego więc nie udał się na nocleg do pana wojewody, który z otwartemi rękami przyjmował znanych i nieznanych gości ze wszystkich ziem polskich.

Nagle drzwi tajemnicze się rozwarły i wyszedł z nich pachołek, nieśmiało przybliżając się do pani Marty.

— Czy twój pan chce śniadania? — spytała żywo Marta, oglądając pilnie chłopaka.

— Et, nie, — odparł — słyszałem od ludzi, że się znacie na lekach, chciałem was prosić, żebyście poszli do mego pana.

— Twój pan zachorzał?

Chłopiec ruszył ramionami.

— Nie wiem, ale pono że tak: twarz jego pała, oczy świecą, chciał się dźwignąć przed chwilą z łoża i nie mógł, a wciąż gada o drodze... Ot, powiem wam prawdę, wczoraj przed nocą zmartwił się ciężko.

— Wczoraj przed nocą? a cóż go tutaj spotkać mogło? przecież nigdzie nie wychodził i nikt nie był u niego.

Chłopak zrobił minę tajemniczą.

— Wiem ci ja dobrze co, ale powiedzieć nie mogę, — odparł — nie traćmy czasu na gawędzie, bo gotów zaniemódz gorzej, trzeba go ratować.

— Chodźmy zatem, — rzekła Marta — i wyprzedziwszy chłopca, weszła niebawem do izby gościnnej.

Tutaj zmrok jeszcze panował, przez maleńkie okienko słońce niełatwo wedrzeć się mogło; pod jedną ze ścian stał tapczan, na nim leżał człowiek, młody, czy stary, trudno to było przy zmroku zmiarkować. Zdawał się drzemać, bo nie ruszał się wcale, słychać było tylko przyspieszony jego oddech, zdradzający gorączkę. Marta posunęła się cicho na palcach do tapczana, pochyliła nad chorym i w twarz jego wpatrzyła się uważnie. Był piękny i młody jeszcze, czoło jego osłaniały długie, krucze włosy, długie czarne rzęsy na twarz cień rzucały. Młodzian dziwne wrażenie wywarł na starej, oczy jej rozwarły się szeroko, usta drgnęły.

— Toż to wojewodzic — szepnęła — cofając się parę kroków i głowę do pachołka obróciła.

Chłopak położył palec na ustach.

— Poznaliście, to milczcie — rzekł cicho — nikt wiedzieć nie powinien, żeśmy tu.

— Czemużeście do dworu nie zajechali? — spytała jeszcze Marta.

Chłopak ruszył ramionami. Wtem chory otworzył oczy, dźwignął się na łożu i groźnym wzrokiem spojrzał na starą.

— Pocoście tu przyszli? — zapytał — nie wołałem was i mieć nie chcę. Jędrek! podaj mi suknie, wyjedziemy natychmiast.

Marta przysunęła się do tapczana, położyła dłoń na ramieniu chorego.

— Zaufaj starej — rzekła — nie zdradzę was napewno, wiem, kto jesteście, ale żywa dusza nie dowie się, że tu stoicie. Jechać nie można, dopóki gorączka nie minie.

Młodzian spojrzał badawczo na mówiącą.

— Czy pamiętasz, jak czuwałam kiedyś nad tobą; jak cię pielęgnowałam, gdyś był maleńki; jak matkę ci zastępowałam, jak igrałam z wami; jak tobie i siostrom baje rozpowiadałam, gdyście zdrowi byli?

Łza zaświeciła w jego oku, wstrząsnął głową ze smutkiem.

— Nie wrócą już te czasy... — szepnął i czoło spuścił na piersi.

Marta pochyliła się ku niemu, chcąc zapytać, co mu legło na sercu, lecz chory nagle schwycił ją za rękę i rzekł z mocą:

— Nie mów ty nigdy z nikim o mnie, mnie już niema na ziemi!

Marta westchnęła.

— Kiedy chcesz tego, nie będę mówiła. Pójdę ziółek zgotować i niebawem tu powrócę, a tymczasem czuwaj przy panu — dodała, zwracając się do pachołka.

Pospieszyła do kuchni i po upływie kwadransa miała gotowy napar z ziół leczniczych, który poniosła dla chorego. Gdy przechodziła sień, dzielącą izbę gościnną od kuchni, usłyszała tętent koński.

— Nowi goście jadą — pomyślała i postawiwszy kubek z lekami na ławie, zbliżyła się do drzwi, wiodących na dziedziniec.

Nie mylił ją słuch, z dala ujrzała pędzącego

rumaka. Chcąc się lepiej przypatrzeć, kto jedzie, Marta przyłożyła rękę do czoła, by wzrok od blasku słonecznego zasłonić. Nagle krzyknęła z przerażeniem: »Wojewodzianka!«

Jadąca na koniu snać usłyszała te wyrazy, bo skinęła głową pani Marcie. Była to w istocie wojewodzianka, Alina Porecka. Nic w tem nie było dziwnego, że siedziała na koniu, wojewoda sam nauczył wnuczki dosiadać rumaka, i nie nowością dla Marty było witać u siebie w tak rannej porze wojewodziankę, nie z tych więc przyczyn krzyknęła, ujrzawszy Alinę, ale dlatego, że w tej chwili nie pragnęła gości, a tembardziej gości ze dworu. Stanęła więc zakłopotana, nie wiedząc, co czynić. Gdy Alina skinęła jej głową z dala, zamiast wybiedz, jak zwykle, naprzeciw, cofnęła się w głąb sieni, potem jednakże wróciła i stanęła na ganku. Tymczasem Alina zsiadła z konia przed gospodą i ku Marcie podążyła.

— Co ci do głowy przyszło, w taki chłodny ranek aż tu przyjeżdżać — poczęła gderać Marta, nie powitawszy nawet wojewodzianki.

— Czyliż to po raz pierwszy w taki chłodny ranek tutaj jestem? — odparła Alina. — A dziś chociażby od mrozu trzaskały kamienie, jeszczebym przyjechała.

Stara spojrzała pytająco w twarz dziewczęcia.

— Macie gościa u siebie — poczęła Alina, nie dając przyjść jej do słowa — do niego przyjechałam.

— A wam kto o moim gościu powiedział?

— Kto, co wam do tego, dość, że wiem, zresztą, co mam ukrywać: Małgorzata mi powiedziała.

— Nie zobaczysz go jednak — rzekła stanowczo Marta.

— Puścicie, bo inaczej przemocą się wedrę. — To mówiąc, Alina podeszła ku drzwiom, wiodącym do gościnnej izby. Marta zabiegła jej drogę.

— Dziecko, nie chodź tam, ja cię puścić nie mogę.

Alina schwyciła obie jej ręce i do ust poniosła, a spojrzała przytem tak wymownie, tak słodko na starą, iż serce jej poruszyło się; pomruczała coś pod nosem, pokiwała głową, poczem rzekła głośno:

— Kto wie, może ty go prędzej wyleczysz, niż moje ziółka, wszakżem się nie wygadała, wiedziałaś beze mnie.

To mówiąc, wróciła do sieni, wzięła kubek z ławy i skierowała się do izby gościnnej; za nią podążyła Alina.

Na szelest wchodzących chory dźwignął się z pościeli i wzrok ku nim obrócił. Najprzód wsunęła się Marta, potem dopiero Alina; młodzieniec uśmiechnął się do pierwszej, ale gdy druga weszła, wstrząsnął się cały.

— Zdradziłaś mię! — krzyknął ku Marcie.

Alina wyprzedziła starą, zbliżyła się do tapczana i klękła przy nim.

— Nie zdradziła, wierzaj — rzekła drżącym głosem — ona mię nie wezwała, od kogoś innego

zupełnie dowiedziałam się, żeś tutaj. Magdalena wyśledziła cię.

Lecz chory nic nie odpowiedział, nawet oczu nie otworzył, nawet nie spojrzał na klęczącą. Marta i pachołek przestraszeni, przysunęli się do łoża, Alina pochyliła się ku niemu.

— Wacławie, — szepnęła głosem błagalnym — spójrz choć na mnie.

Chory otworzył oczy.

— Pocoś tu przyszła? — zapytał głosem urywanym — czy chcesz, żeby i ciebie dziadek się wyrzekł?

— Mam przekonanie, że gdyby mię tu widział, pobłogosławiłby mnie — odparła Alina.

Gorzki uśmiech wykrzywił usta chorego.

— Pobłogosławiłby, — powtórzył z ironją — pobłogosławiłby, a przecież kazał moje rzeczy na strych wyrzucić! Czy ty wiesz, jaką wczoraj od niego odpowiedź otrzymałem, gdym prosił, aby mi pozwolił wytłumaczyć się przynajmniej, bo mi przedtem kazał powiedzieć, żebym się nie ważył mu na oczy pokazywać.

— Nie wiem — szepnęła Alina.

Chory dźwignął się z wysiłkiem, sięgnął pod poduszkę skórzaną, którą miał pod głową, dobył zmięty zwitek papieru i podał go wojewodziance. Ona przebiegła oczyma pismo, łzy zaświeciły na jej rzęsach, westchnęła i oddała papier choremu.

— Surowy był zawsze i jest — rzekła — ale kochał nas gorąco i kocha.

— Was może jeszcze, lecz mnie już nie kocha... Odejdź odemnie, bo i ciebie przestanie.

— Choćby nawet tak być miało, nie odejdę — odparła Alina — tyś nieszczęśliwy.

Uśmiechnął się boleśnie chory, wziął rękę dziewczęcia i do ust ją poniósł.

— Tyś aniołem — szepnął.

— Jam tylko siostra — odparła Alina i pocałowawszy brata w czoło, siadła na tapczanie; on chwilę patrzał na nią z tkliwem rozczuleniem i uśmiechał się do niej i ściskał jej dłoń, lecz potem słodki, spokojny wyraz począł ustępować z jego twarzy, czoło zaczęło się fałdować, jakieś błyski niespokojne ukazywały się w oczach, wpatrzył się podejrzliwie w twarz siostry, puścił jej dłoń.

— A czy wiesz, com ja popełnił? — spytał nagłe, podnosząc się znowu z poduszek.

— Nie wiem i wiedzieć nie chcę — odparła Alina.

Chory rozśmiał się ostro, przykro.

— Gdybyś wiedziała, nie byłabyś tu przyszła — rzekł z goryczą. — Regina wiedzieć musi, ona starsza, więc jej dziadek powiedział wszystko i dlatego jej tu niema. Oni mnie się wyrzekli, i ty to samo uczyń, Alino. Jam na to zasłużył, wierzaj. — »Wacław Porecki zginął pod Cecorą — napisał mi dziadek — ten, który się błąka po świecie, to nie on, to nie mój wnuk, ja tego w progi domu mego nie przyjmę«. Odejdź od tego posłania, wojewodzianko, tu obcy człowiek dla ciebie leży, tu nie miejsce dla ciebie. Marta czuwać będzie nad chorym. Wracaj do domu.

— Wacławie, uspokój się — rzekła Alina błagalnym głosem.

— Dziś jeszcze wsiądę na konia — ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na słowa siostry — i kraj opuszczę; zaciągnę się do szeregów Fernanda II, cesarza Niemiec, lub przeciwnika jego, króla czeskiego. Oni wiodą z sobą wojnę... A jeśli mię nie przyjmą, powędruję do Turcji, służyć będę sułtanowi; czy mię pośle do Azji lub do Afryki, wszystko mi jedno. Byle zginąć jak najprędzej, byle nie cierpieć tak, jak dziś... Rzucę się, gdzie śmierć najpewniejsza.

— Tego nie uczynisz — zawołała, padając na kolana, Alina — nie wiem, coś przewinił, ale wiem, że dla największych grzeszników jest miłosierdzie, jest przebaczenie, jest pokuta i żal za grzechy.

— Ale nie dla takich, jak ja; swoi się mnie wyrzekli, obcy przeklną; swoi nie dopuścili do progu domu, obcy psami wyszczują... I pocóż mam żyć? skarlały potomek wielkiego rodu, splamiony syn nieskazitelnych rodziców... Czy poto, żeby mnie palcem wytykano, nazywając zdrajcą? Dla mnie niema miejsca na ziemi polskiej, zhańbiony, sromem okryty, chcę umrzeć tylko. Dla mnie spokoju na ziemi już niema, w grobie go chyba znajdę, więc grobu szukać będę...

— A gdy ci obcy rozkażą pójść na własną ojczyznę? — spytała Alina.

Wacław uśmiechnął się z goryczą.

— Może i tego dopuszczę się z czasem, kto

to wie? — odparł. — Bo czyż mogłem przypuszczać rok temu, czem dzisiaj będę.

Alina nic już nie odpowiedziała, podniosła się zwolna, siadła na tapczanie, zasłoniła twarz rękami i płakała cicho. Marta patrzała na nią ze współczuciem, pachołek ciekawie, Wacław leżał z zamkniętemi oczyma. Długą chwilę milczenie izbę zalegało, tylko płacz Aliny odbijał się o jej ściany. Wreszcie chory poruszył się znowu, otworzył oczy, spojrzał posępnie na siostrę, potem na Martę.

— Powiedzcie jej, żeby odeszła — rzekł sucho — nie chcę jej tutaj, głowa mi pęka od jej szlochów.

Stara zbliżyła się do wojewodzianki i szepnęła jej coś na ucho, Alina podniosła się cicho, otarła ręką łzy, pochyliła się do brata i pocałowała go w czoło, poczem wyszła z izby, a Marta za nią. W sieni wojewodzianka przystanęła.

— Odjeżdżam spokojna — rzekła — bom pewna, że jak matka czuwać nad nim będziesz. Wkrótce znowu tu przyjadę i znowu z nim mówić będę. Muszę go uratować!

III.

Jednym z zamożniejszych panów owego czasu był wojewoda Porecki, nie chełpił się nigdy swemi bogactwami, nie otaczał zbytkiem, lecz za to chlubił się starożytnością rodu, zacnemi czy-

nami przodków. Dumny, surowy, możny pan bratał się tylko z równymi sobie pod względem urodzenia, na szlachtę uboższą spoglądał hardo, a jeśli na kim najmniejsza ciążyła wina, to już za nic w świecie nie przyjąłby go do swego domu, nie podałby mu dłoni, nie siadłby z nim przy jednym stole, choćby nawet był to pan z panów.

»Kto Porecki, ten nie brata się ze zhańbionymi« mawiał często. »Kto Porecki, ten czysty jak kryształ. Przejrzyjcie dzieje narodów, zobaczcie, czy choć na jednym z przodków moich ciąży jaka wina«. I tak w istocie było, każdy Porecki był czysty jak gołąb, odważny jak biblijny Samson, silny jak podaniowy Herkules. Czterech braci wojewody zginęło zacnie w obronie ojczyzny, on sam niejedną kresę nosił na twarzy, dwóch jego synów poległo śmiercią bohaterską; został mu po jednym z nich wnuk, po czterech braciach nie było ani jednego potomka męskiego. Wacław był jedynym przedstawicielem wielkiego rodu, jedyną odroślą, której przeznaczeniem było nowej mu chwały przysporzyć. Wszystkie nadzieje dumnego starca, chylącego się do grobu, skupiły się w tym wnuku; ukochał go też sercem całem, niepodzielnem... Ze łzami w oczach pobłogosławił go na pierwszą rycerską wyprawę; drżały mu ręce, kiedy mu szablę przypasał.

Wacław liczył dopiero lat 18, lecz tak się rwał koniecznie na tę wojnę, a wojewoda tak pragnął, by imię Poreckich jeszcze raz za jego życia obiegło po kraju blaskiem chwały otoczone, iż pozwolił iść chłopcu, — lecz jakże ten chłopiec go

zawiódł... Już wiele przeżył wojewoda: śmierć czterech braci, żony i dwóch synów, a przecież wszystkie te ciosy zniósł odważnie, z czołem dumnie podniesionem, jak mężowi przystało; lecz cios, który go spotkał teraz, złamał go. Ten wnuk ukochany, ta jego nadzieja, ten jedyny potomek rodu Poreckich splamił imię swoje, rzucił cień na ród nieskażony... Przygnębiony gromem niespodzianym, wojewoda siedział całemi dniami w swojej alkowie milczący, chmurny, z głową zwieszoną na piersi, z wzrokiem w ziemię utkwionym. Służbie i sąsiadom obwieścił, że wnuk jego zginął pod Cecorą, i zamknąwszy się w swej alkowie, rzadko kiedy z niej na świat wyglądał.

Tymczasem różne wieści krążyły po kraju o Wacławie: niektórzy zaprzeczali jego śmierci, mówili, że popadł w niewolę turecką, inni gorsze jeszcze rzeczy rozpowiadali, że Wacław w czasie bitwy przeszedł do obozu nieprzyjacielskiego, w turban głowę przystroił i walczył przeciw własnym braciom.

Smutno było teraz w Złotopolu, wojewoda siedział zamknięty w swej izbie, Regina chodziła milcząca i posępna, odziana w czarną suknię, jakby na znak żałoby; służba patrząc na nią, także spochmurniała, nikt głośniej niemal odezwać się nie śmiał; tylko Alina wciąż była jednakowa; wprawdzie pobladła trochę, lecz co do humoru nie zmieniła się nic a nic. Twarzyczka jej była zawsze pogodna, nawet uśmiech pojawiał się na niej często, co rano jeździła jak dawniej na wycieczki, potem przędła, krzątała się, nucąc, koło gospodar-

stwa i w ogródku. Regina nadziwić się jej nie mogła, a czasami gorszyła się jej wesołością. »Niby w pierwszej chwili uczuła więcej niż ja — mówiła do siebie — a teraz...« i ruszała głową poważnie i wzdychała nad lekkomyślnością siostry, ani się domyślając, co jej daje ten spokój i siłę. Przeciwnie, wojewoda nie zdawał się gniewać na Alinę, że weselsza od siostry, można było nawet powiedzieć, iż rad jest temu, bo ją częściej przywoływał do siebie niż Reginę, częściej pogładził po głowie i spojrzał też częściej na nią życzliwie.

Regina widząc to, wzdychała.

— Nagradza ją, że brata wyrzuciła z serca — mówiła do siebie.

Lecz Alina co innego przypuszczała.

— Może się domyśla, gdzie ja co dzień bywam, kogo widuję, może rad temu?

Czy wojewoda zgadywał, dokąd jeździła co dzień Alina, czy mu kto o tem powiedział, trudno było dociec, dość, że nigdy nie pytał, gdzie była, skąd wraca. Alina tem ośmielona, co dzień odważniej puszczała się na wycieczki do gospody Marty i co dzień później wracała, co dzień też więcej nabierała przekonania, że dziadek jakimś sposobem dowiedział się o wszystkiem. Mianowicie jeden ranek utwierdził ją bardziej w tem przekonaniu. Pewnego dnia trochę zaspała, a raczej stara Magdalena obudziła ją później nieco. Już było po siódmej, kiedy pośpieszyła do stajni po gniadosza. Właśnie chłopak wyprowadził dla niej konia na dziedziniec, gdy posłyszała za sobą dobrze znany głos dziadka:

— A to dokąd chcesz jechać?

Alina pobladła i odpowiedziała nieśmiało:

— Chciałam odwiedzić Martę.

Była pewna, że dziadek konia do stajni zawrócić każe, lecz usłyszała całkiem co innego.

— Czy masz kożuszek? bo ranek chłodny.

— Mam, dziaduniu — odparła Alina i uradowana zbliżyła się do jego ręki, on objął ją ramieniem i silniej niż zwykle do piersi przycisnął, potem pocałował w czoło i głosem drżącym szepnął:

— Niech cię Bóg prowadzi.

Teraz Alina była już zupełnie pewna, że dziadek od kogoś się dowiedział o celu jej rannych wycieczek, że jej wdzięczny za to, że chociaż ukarał srogo Wacława i wspominać go nie dozwalał, kochał go zawsze... Szczęśliwa, jak dawno nie bywała, dosiadła konia i pogalopowała znaną drogą.

Piękny to był ranek, cichy, pogodny, chociaż chłodny trochę. Słońce jasno świeciło, niebo było czyste, ale na listkach traw bielił się szron, wśród krzewów, otaczających łąki, świergotały wróble i sikorki, lecz ponure krakanie wron mieszało się czasem z ich wesołym gwarem. Gniady sunął szybko jak strzała, wystraszając wrony, szukające pożywienia. Z wesołą myślą jechała Alina, bo dziadek ją błogosławił.

— Może go dziś lepiej zastanę, daj to, Boże — mówiła sobie w duchu.

Już tydzień tak jeździła co rano do gospody, lecz jeszcze nic nie wymogła na bracie, nie zniechęcała się wszakże. Wacław leżał w gorączce,

był nieprzytomny, ufała jednak, że złe przeminie, i że potem pomówi z nim raz jeszcze.

Marta także miała nadzieję.

— Młody jest — powtarzała niemal codziennie dziewczęciu — wyleczy się, bądź spokojna.

Wreszcie ukazały się drewniane ściany gospody i płot z okrąglaków ją otaczający. Gniady zarżał i zwolnił biegu, Alina westchnęła.

— Co też powie mi dzisiaj Marta? — pomyślała.

Po chwili koń zatrzymał się u płotu, Alina zeskoczyła na ziemię. Tętent konia wywołał starą gospodynię.

— Coś późno dziś przyjeżdżasz — rzekła — ale to nic, śpi jeszcze, a budzić go nie można. Wczoraj przed nocą majaczył, zrywał się z łoża, znowu okropne rzeczy wygadywał: że życie sobie odbierze, że śmierci wygląda jak zbawienia; około północy uspokoił się wszakże, a potem usnął i do tego czasu śpi jeszcze.

— Czy można pójść do niego? — spytała Alina, strwożona tem opowiadaniem.

— Można, siądź tylko cicho, by go nie zbudzić; czasem sen taki bywa zbawczym, nie trzeba go przerywać. Alina skinęła głową i podążyła do izby. Marta wróciła do kuchni... W pokoju chorego nikogo nie było, nawet pachołka. Alina siadła u nóg brata. Słaby promień słońca, który zakradł się do izby przez małe okienko, oświecał twarz młodzieńca; ze smutkiem patrzała na nią Alina: straszne zmiany zaszły w tych rysach, tak drogich jej sercu.

Ciche westchnienie wyrwało się jej z piersi. Może chory posłyszał, bo nagle otworzył oczy, rozmarzonym wzrokiem spojrzał po izbie, poczem zatrzymał go na Alinie. Ona pochyliła się ku niemu troskliwie.

— Jakże ci? — spytała.

— Ty przy mnie? — szepnął Wacław — O, wierzaj, jam nie wart tego.

— Więc mię poznałeś? — odparła Alina — a radość brzmiała w jej głosie. — Więc ci już lepiej... O, jaki Bóg dobry — i przyklęknęła bliżej głowy brata i czoło jego pocałowała.

Wacław schwycił jej rękę, wpatrzył się w jej oczy badawczo.

— Czy wiesz, za co mię dziadek wygnał ze swego domu? — spytał nagle.

Ona milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć; bała się, aby gdy powie, że nie wie za co, on znowu nie rozśmiał się tak jak wtedy okropnie.

Wacław puścił jej rękę.

— Nie wiesz — rzekł zwolna — a więc ci powiem. Powinnaś wiedzieć, com ja zawinił, żebyś nie żałowała potem, żeś do mnie przychodziła. — To mówiąc, dźwignął się zwolna z poduszek, podparł się łokciem na posłaniu i tak począł:

— Czy pamiętasz dzień 26 sierpnia, dzień, w którym wyruszyłem na wojnę, pod chorągwie hetmana Żółkiewskiego. Odprowadziliście mię wszyscy do Baru, pożegnałem was wesoły, gniewałem się, gdyście płakały, jechałem z jak największą ochotą.

Dnia 2 września przeszliśmy Dniestr u wsi Śledziówki; wojsko nasze składało się z 6.000 rycerzy, wsławionych w rozlicznych wojnach. Większość składały oddziały Samuela ks. Koreckiego, niedawno z niewoli tureckiej wypuszczonego, Mikołaja Strusia, Marcina Kazanowskiego, Walentego Kalinowskiego, Mikołaja Potockiego, Tyszkiewicza; był też cny Chmielecki, oraz syn, synowiec i zięć hetmana, Stanisław Koniecpolski. Przyłączył się też wojewoda Gracjan, ale wbrew obietnicom, przywiódł tylko 600 Wołochów. Dnia 12 stanęliśmy w miejscu, zwanem Cecora, nad rzeką Prutem, gdzie niegdyś Zamoyski rozbił na głowę Tatarów. Skinder, basza[1]) turecki, i Kantymir, murza[2]) tatarski, mieli 60.000 żołnierza; hetman niezwłocznie stoczył bitwę, dnia 17 września, okopawszy się w obozie i zasłoniwszy taborem[3]). Była to pierwsza bitwa, w której udział brałem. Żaden Porecki nie powstydziłby się wówczas swego potomka; nie szczędziłem życia, a jednak wyszedłem cało na swoje nieszczęście.

Legło na polu 3.000 Turków i Tatarów, lecz i naszych strata była niemała, zwłaszcza przy szczupłych siłach. Żółkiewski złożył radę wojenną, radził jeszcze zwieść bitwę, a gdyby wrogów nie rozbito, wracać pod zasłoną taborów do granic. Nie podobała się ta rada zawistnym zawsze i niechętnym hetmanowi, a tchórzem podszytym pa-

---

[1]) Basza — gubernator turecki i wódz.
[2]) Murza — książę i dowódca tatarski.
[3]) Tabor — szańce, ochrona z poszczepianych wozów.

nom, Kalinowski zwłaszcza począł wichrzyć; korzystając z tego, że Turcy zaniechali szturmów, roznosił po obozie wieści, że hetman chce opuścić wojsko, że Turkom posiłki przybyły, że niemasz innego ratunku okrom ucieczki. Rycerstwo chętnie skłoniło ucha do tych podszeptów, trwożne o swój los poza granicami kraju, bez nadziei odsieczy! Zebrali też zasłużone żniwo.

W nocy z dnia 20 września obudził mię popłoch w obozie; porwałem się i wybiegłem przed namiot. Ujrzałem piekło. Zewsząd cwałowali żołnierze ku rzece, wołając: »Hetman nas zdradził! Turcy naszli obóz! Wołoch połączył się ze Skinder baszą!« Wrzask i hałas był nie do opisania sądziłem, że nadeszła dla mnie godzina ostatnia i upadłem na duchu. Wtem na wszystkich krańcach obozu buchnął ogień: płonęły namioty, a służalce i ciury obozowe uciekali, unosząc z nich dobytek. Na ten widok straciłem zupełnie głowę; instynktowo dopadłem konia i popędziłem za innymi ku rzece. W moich oczach zginął zdrajca Kalinowski i hospodar[1]) Gracjan, jam jednak myślał tylko o sobie. Gdym stanął na przeciwnym brzegu, spojrzałem na obóz, i serce mi się ścisnęło: otoczony przez niosących pochodnie, jechał osiwiały hetman obozem, odwracając swoich od haniebnej ucieczki. Więc jeszcze nie zginęli! — pomyślałem — więc hetman jest w obozie, a ja mamże go odbieżeć? W tejże chwili cięcie pałasza zrzuciło mi szyszak z głowy: Tatarzy napadli na

---

[1]) Hospodar — władca wołoski nosił ten tytuł.

uciekających za Prut. Nie było czasu do namysłu; z wściekłością rzuciłem się na Tatarów, położyłem kilku trupem i utorowawszy w ten sposób drogę, popędziłem, co koń wyskoczy.

Alina skryła twarz w dłoniach.

— To jeszcze nie wszystko — rzekł z goryczą Wacław. — Gdy po pełnej niebezpieczeństw drodze, po długich błąkaniach się, dotarłem do granic Polski, czekały na mnie wieści hjobowe[1]). Po owym popłochu Żółkiewski zawrócił do ojczyzny. Cały tydzień szli taborem, odpierając dzielnie nacisk wroga, zdobyli nawet na Turkach dwie chorągwie i jedno działo. Lecz dnia 6 października[2]), nad Dniestrem, naprzeciw Mohylowa, o milę tylko od granic naszych, hałastra obozowa wywołała popłoch, rozbiła tabor i z końmi uciekła za rzekę. Czekali tego Bisurmani[3]), rzucili się na bezbronny obóz, na jazdę bez koni... Rozpoczęła się rzeź... Żółkiewskiemu syn wyszukał konia, lecz szlachetny hetman nie przyjął go, powiadając: »Rzeczpospolita powierzyła mi to wojsko; jeżeli go nie zachowam, zginę z niem razem«. I zginął chwalebną śmiercią razem z innymi. Wieść ta była piorunem dla mnie: jam zbieg z pola bitwy, jam z tych, którzy wydali na zgubę hetmana i kwiat rycerstwa polskiego.

Niema dla mnie przebaczenia; odejdź ode

---

[1]) Hjobowa — wyraz, pochodzący od Hjoba, którego Bóg ciężko doświadczał.

[2]) 1620 roku.

[3]) Bisurmani — Turcy.

mnie, Alino, ja ci tego za złe nie wezmę; ty mnie kochać nie możesz po tem, coś usłyszała; wszyscy mają prawo odwrócić się ode mnie... Odejdź, Alino, i nie płacz, Bóg da, że długo cierpieć nie będę, siły moje tak wyczerpane, smutek i zgryzota dobiją mnie wkrótce.

— Nie! ty nie umrzesz, Wacławie! — zawołała Alina, podnosząc nagle głowę ty nie umrzesz, ty żyć musisz.

— Zyć? A to poco?

— Poto, aby winy swe zmazać, poto, aby odzyskać sławę utraconą i miłość dziadka.

— Za pózno już! — szepnął Wacław i zwolna opadł na posłanie.

Alina pochyliła się ku niemu, ujęła jego rękę

— Wacławie — szepnęła błagalnym głosem — Wacławie, czy ty już nikogo nie kochasz?

On zdawał się być zdumiony tem pytaniem, spojrzał na nią pytająco.

— Jeśli nas choć troszkę jeszcze kochasz, — ciągnęła dalej wzruszonym głosem Alina — jeśli ci imię Boga i ojczyzny jeszcze święte, jeszcze miłe, zaklinam cię, powiedz mi, że będziesz starał się żyć, wrócić do sił i zdrowia.

Wacław dźwignął głowę z poduszek, oparł się na łokciu, chwilę patrzał na siostrę zdziwiony, niedowierzający.

— Więc ty mię kochasz jeszcze? — zapytał nakoniec.

— Kocham — odparła Alina i pochyliła się do brata z pocałunkiem.

Oczy chorego błysnęły życiem, objął ramie-

niem siostrę i uścisnął ją silnie, po wybladłej jego twarzy stoczyły się dwie łzy grube.

A więc chcę żyć — rzekł z siłą — módl się, Alino, do Boga, aby mi zdrowie powrócił.

* * *

Dnia tego później niż zwykle wróciła Alina do domu; już obiad podano, już wojewoda siadł do stołu, kiedy weszła dopiero do jadalni. Regina była pewna, że dziadek będzie strofował siostrę, lecz jakże się zdziwiła: nietylko jej nie łajał, lecz nawet uśmiechnął się do niej łaskawie, on, co teraz nigdy się nie uśmiechał; potem przywołał ją do siebie i czule pocałowawszy w czoło, rzekł:

— Ślicznie dziś wyglądasz, dziewczyno.

Ślicznie w istocie wyglądała Alina: promień szczęścia tryskał z jej oczu, na czole był taki spokój błogi, na ustach taki uśmiech słodki, iż Regina napatrzeć się jej nie mogła.

— Wyglądasz, jak święta z obrazka — rzekła jej po obiedzie.

Alina uścisnęła siostrę.

— Bo mi tak lekko na duszy, tak dobrze na sercu, jakbym niebo widziała — odparła. Potem naraz objąwszy wpół siostrę, spojrzała jej w oczy uważnie. — Cobyś ty na to powiedziała, Regino — spytała, wolno każdy wyraz wymawiając — cobyś na to powiedziała, gdybym się przyznała, że widuję co dzień Wacława.

Regina spojrzała na nią wzrokiem, w którym zgrozę i przestrach czytać można było.

— Nie odważyłabyś się na coś podobnego,— rzekła — nieposłuszeństwo jest grzechem,—a potem on splamiony, podać mu rękę, byłoby to siebie splamić.

— O, jeśli takie twoje przekonanie, siostro, to nie zbliżaj się ty nigdy do mnie — odparła z goryczą Alina, — nie całuj ty mnie nigdy, bo się splamisz.

— Więc ty go widujesz? – spytała Regina głosem stłumionym.

Alina zarumieniła się, spuściła oczy w ziemię.

— Wszak nam i myślą grzeszyć nie wolno, — rzekła — »myśl zdrożna toż samo prawie, co i uczynek« mówiłaś nieraz. Ja często myślę o bracie, widuję go w myśli, rozmawiam z nim, pocieszam go i pieszczę, więc jam splamiona, Regino. Ale choć tyś biała, jak marmury, czysta, jak śniegi, jabym tobą nie chciała być, bobym się lękała, że kto się zbliży do mnie, tego mróz przejmie; kto mnie uściśnie, ten będzie myślał, że kamień uścisnął; o, jabym nie chciała być tobą, siostro... Tobie musi być czasem okropnie zimno i posępnie w duszy.

IV.

Ranek zaświtał na niebie, jesienne mgły rozsuwały się zwolna, różowa jutrzenka rozlewała się po niebie, a zmrok ustępował z ziemi, coraz jaśniej było dokoła, ale cicho jeszcze wszędzie: ludzie spali, nawet i ptactwo. Wcześniejszy od in-

nych śpiewaków skowronek wzbił się nad równiną, do murów twierdzy Chocimia przylegającą, i zanucił piosenkę, a fale Dniestru odpowiedziały mu szumem poważnym.

Cicho jeszcze na ziemi, lecz zanosi się na niej widocznie na burzę: na równinie chocimskiej bieleją wojenne namioty, a ci, co tu obóz rozłożyli, dogodne miejsce wybrali. Z jednej strony otaczają ich skaliste Dniepru brzegi z padołami i wzgórkami, z drugiej krzewiny i lasy, pełne dróg krętych i wąwozów, zdatnych do zasadzek, na samym zaś tyle olbrzymia skała stanowi dla obozu jakby ścianę oparcia. Na skale wznosi się zamek z murami, poczerniałemi od starości, z basztami[1]) groźnemi, a przód obozu zamknięty wałem, na którym tu i owdzie widać straże zbrojne. Gdy oko przebiegnie ten wał, zobaczy poza nim znowu równinę, a dalej pasmo wzgórzy. Na tych wzgórzach w blaskach wschodzącej jutrzenki coś świeci i migocze: to drugi obóz, ale niczem niepodobny do tego, co się opiera o skałę: tam wznoszą się ogromne białe namioty, broni w kozły ustawionej nie brak i dział również, ale złota nigdzie nie widać; tu każdy namiot połyskuje, mieni się barwami tęczy. W pośrodku taboru wznosi się coś jak zamek groźny, — przykre on robi wrażenie, różowa jutrzenka zda się gasnąć przy jego ścianach czerwonych, rzekłbyś, że we krwi umaczane... I czyjże to namiot taki straszny? Wielkiego sułtana... Trzykroćstotysięcy ludu sprowadził on z sobą, prócz

---

[1]) Baszta — wieża.

Tatarów, na milę rozłożył się ze swoim taborem; koło jego namiotu stoją olbrzymie słonie z wieżami, na których pozawieszano dzwony; dalej widać liczne wielbłądy, na ich garbach powiewają różnorodne chorągwie; ze szczytów namiotów wzbijają się w powietrze złote półksiężyce i gałki, a między niemi sterczą na pozłocistych drągach rozpięte skrzydła orłów, buńczuki[1]) i końskie grzywy. Bliżej namiotu sułtana tu i owdzie wznoszą się okazalsze od innych namioty baszów, ze ścianami pstremi, koło nich stoją konie, krowy, owce... piędzi ziemi wolnej tam niema, wszystko ludźmi i zwierzem zajęte.

I przeciw komu z tą siłą sułtan zamierza wystąpić? Dziesięciu baszów towarzyszy mu w tej wyprawie: basza Rumelji, Anatolji, Bośni, Alepu, Maroku i t. d. Chyba świat cały chce zawojować?... Nie, on tylko zamierza stoczyć bój z tymi, co tam naprzeciw rozłożyli się obozem, z wojskami hetmana Chodkiewicza... Około czterystu tysięcy Turków i Tatarów na 65.000 Polaków i Zaporożców...

Gdy wieść o klęsce cecorskiej dobiegła do Warszawy, zwołano natychmiast sejm i uchwalono nową wyprawę przeciw Muzułmanom. Nakazawszy pospolite ruszenie[2]), król wezwał Karola Chodkiewicza, bohatera z pod Kircholmu, aby objął naczelne dowództwo. Chodkiewicz, lubo już wiekiem i trudami wojennemi sterany, nie odmówił

---

[1]) Buńczuk — sztandar turecki z końskiego włosia.

[2]) Pospolite ruszenie — gdy każdy szlachcic obowiązany był ruszyć na wojnę.

krolowi, podjął się ochotnie trudnego obowiązku i zebrawszy 35.000 rycerstwa, ruszył na Podole. Pod samym Chocimem przyłączyło się jeszcze 30.000 Zaporożców [1]). Garstka to była w porównaniu do sił Osmana, przecież Chodkiewicz ufał, że poradzi sobie z nieprzyjacielem; część wojska powierzył hetmanowi polnemu, Lubomirskiemu, część Denhoffowi, sam nad głównemi siłami stanął, a obrawszy miejsce dogodne, czekał cierpliwie sposobnej chwili do rozpoczęcia boju. Rycerstwo jego składało się z lekkiej jazdy zaporoskiej, z dobrze uzbrojonych pancernych, husarzy i rajtarów, oraz 5.450 piechoty. Większa daleko była rozmaitość między rycerstwem Osmana. Tam widzieć można było Azjatów w jaskrawych szatach, z długiemi brodami, w białych turbanach na głowie, uzbrojonych w krzywe szable, rusznice, pistolety, lub pociskowe dziryty; czarnych Afrykanów, uzbrojonych w łuki i ostre strzały; bitnych janczarów [2]), Greków, Węgrów, Wołochów i wielu jeszcze innych.

Gdy słońce wypłynęło z poza obłoków, tak w jednym jak w drugim obozie powstał ruch. Z namiotów zaczęli wysuwać się rycerze, błysnęły ogniska, gwar się rozległ. W obozie tureckim zabrzmiała dzika, hałaśliwa muzyka: niesforne dźwięki piszczałek, bębenków, brzękadełek, zlane w jeden głos potężny, przeleciawszy Dniepr, zgłuszyły po-

---

[1]) Zaporożcy — kozacy z za Dniepru.

[2]) Janczary — wojsko tureckie z wziętych do niewoli dzieci chrześcijańskich poturczonych.

ważny jego szum i melodyjny śpiew skowronka. Sułtan Osman szykował swe hufce do boju.

Właśnie wódz chrześcijańskich szyków wyszedł ze swego namiotu, otoczony starszyzną i rzekł:

— Niechaj rycerstwo szykuje szeregi, podobno wypadnie nam dzisiaj bój stoczyć. Patrzcie, kędy stoimy, ziemia czerwieni się jeszcze krwią Żółkiewskiego; jak oko sięga, bieleją niepogrzebione kości ziomków naszych, wołając, byście ich pomścili... Przebóg, długoż jeszcze ciężkie obelgi znosić będziemy?

Mowa hetmana brzmiała donośnie, a choć z obozu Osmana dolatywały dzikie wrzaski, nie zgłuszyły jej przecież; wzruszone rycerstwo krzyknęło:

— Prowadź nas, hetmanie, pomścimy śmierć braci.

Poczem zabrzmiała pieśń »Bogu Rodzica« i zbrojne zastępy puściły się ku namiotom tureckim. Jęknęła ziemia, zaszeleściały proporce, zadźwięczały zbroje, a w chwilę potem huknęły działa tak z jednej, jak z drugiej strony, i bój zawrzał zajadły.

Turcy rzucili się jak dzikie zwierzęta, z krzykami, podobnemi do wycia hyjen. Kozacy cofnęli się, szyki chrześcijańskie mieszać się poczęły. Spostrzegł to Chodkiewicz, brwi jego ściągnęły się gniewnie, na bladą twarz wybiegł rumieniec, dobył szabli z pochwy, skinął na swoich i poskoczył chwiejącym się z pomocą. Wpatrzony w walczące naprzeciw szeregi, zajęty tylko tem, aby do-

biedz do nich jak najprędzej, nie spostrzegł, że w tej samej chwili, kiedy on z szablą dobytą na wroga poleciał, z jednej z krętych ścieżyn, łączących się z wąwozem, co dotykał do ściany zamkowej, wypadł jakiś rycerz. Miał na sobie lekką koszulkę ze stali, przyłbicę spuszczoną na twarz i długą ostrą lancę w ręku, na szyszaku powiewała błękitna wstęga, u kopji chorągiewka takiejże barwy. Pochylony ku grzywie końskiej, rycerz przesadził krzewy, otaczające ścieżynę, dognał hufce hetmana, prześcignął je, potem wmieszał się między kozactwo i stanął tam, gdzie były największe siły Turków.

Spojrzał hetman na nowego przybysza i twarz jego okazała zdumienie, spojrzało nań całe rycerstwo, a każdy pytał wzrokiem »Co ty za jeden?« Ale rycerz na nikogo nie patrzał, wrogiem był tylko zajęty. Długą kopją torował sobie drogę pomiędzy Turkami, a oni cofali się przed nim; rozglądał się wokoło siebie, a gdzie nieprzyjaciel brał górę, tam przerzucał się z szybkością błyskawicy i słabszych wspierał. Zmieniał miejsce ustawicznie, jak wąż prześlizgiwał się między walczącymi, a gdzie stanął, tam dziesiątki trupów muzułmańskich padały natychmiast. Przykład jego podwoił odwagę walczących: kogo otucha opuszczała, ten ją odzyskał, i z podwojonem męstwem natarły szczupłe szeregi hetmana na wroga, aż Turcy ustępować poczęli. Zawrzał gniewem Osman, krzyknął na swoich, grozić im począł, ale Turcy groźby nie słuchali, coraz bardziej chwieją się ich szyki, coraz większy popłoch między nimi się szerzy; nie

chcąc doczekać istotnej porażki, sułtan kazał zatrąbić do odwrotu.

Właśnie słońce rzucało ziemi ostatnie blaski, kiedy znużone hufce Chodkiewicza, pochowawszy poległych, rannych na wozy pobrawszy, wróciły do obozu. Siwy hetman, zrzuciwszy zbroję, siadł przed namiotem, przed nim złożono bogate łupy, wzięte na nieprzyjacielu: sobolowe szuby baszów, zawoje, złotem przetykane, oręże, rzędy i trzosy złota; hetman rozdawał dary rycerstwu, nagradzając hojniej waleczniejszych, każdemu dorzucił słowo przychylne, lecz oczy jego biegały ciągle jakby niespokojnie po szeregach, ciągle zdawały się szukać kogoś... Najkosztowniejszy łup leży jeszcze na ziemi, piękna szabla z rękojeścią turkusami sadzoną jeszcze nikomu nie oddana, hetman czeka z nią widocznie na wybranego... Wreszcie wszyscy przystąpili, nawet proste żołnierstwo, wszyscy dary wzięli, szabla jeszcze leży, nikomu nie oddał jej hetman, chociaż niejeden spoglądał na nią z nadzieją lub zazdrością. Czyżby hetman dla siebie ją chciał zatrzymać? Odprawił obdarzonych i wpatrzył się w szablę, potem wziął ją do ręki, obejrzał uważnie.

— Piękna, bardzo piękna, — rzekł jakby do siebie — najdzielniejszy ją dostać powinien. — To mówiąc, powstał, zbliżył się do rycerzy, co skupiali się właśnie koło ognisk, które ciurowie [1]) rozpalili.

— Jeszcze niewszyscy przyszli po nagrodę —

---

[1]) Ciurowie — służba.

rzekł — brak mi jednego rycerza, imienia jego nie znam, nie wiem, kto on. Może z was który powie mi, gdzie jest ów z błękitną chorągwią i wstęgą takiejże barwy na szyszaku?

Rycerze ruszyli ramionami, patrzyli jeden na drugiego, nie umiejąc odpowiedzieć.

— To niezwyczajny śmiertelnik — ozwał się nareszcie rotmistrz Oporowski; — jak zjawił się niespodzianie, tak też i przepadł; między rycerstwem mówią, że to chyba święty Michał się objawił, aby nam pomódz zwyciężyć.

— Niegodniśmy takiego cudu, — odparł wódz poważnie — idźcie popatrzeć, czy między rannymi go niema.

Na ten rozkaz ruszyło kilku do wielkiego namiotu, gdzie rannych złożono, niebawem wszakże powrócili z wieścią, że nie znaleźli nikogo obcego, wymienili nazwiska wszystkich.

Zadumał się wódz i nachmurzył, snać niemiłą mu była tajemnica, nic nie rzekł jednakże, skinął na starszyznę i oddalił się do swego namiotu; chciał radę zebrać przed nocą, obgadać dzień jutrzejszy; chciał wiedzieć, jakie ma wydać rozporządzenia wojsku. Młodsze rycerstwo obsiadło tymczasem ogniska i przy wieczerzy żywa wszczęła się rozmowa o błękitnym rycerzu, tak bowiem ogólnie w obozie nazywano nieznajomego. Zajmował on mocno wszystkich, bo tajemnica ponętną jest rzeczą, a przytem każdy przyznać musiał, iż nikt z taką odwagą, z takiem poświęceniem i narażeniem życia nie walczył, jak tamten, że się sprawił najdzielniej ze wszystkich.

Nazajutrz rycerz błękitny poszedł w zapomnienie, gdyż nad rankiem przybył do obozu dawno wyczekiwany królewicz Władysław; przybył chory na febrę, której nabawił się czuwaniem nocnem, więc wszyscy się nim zajęli, a Chodkiewicz odstąpił mu swój namiot, i do jednego z rycerskich się przeniósł; poczem, kiedy umieszczono królewicza, hetman wysłał rycerstwo na wały, naprawiać szańce, które dnia poprzedniego podczas boju w kilku miejscach zostały naruszone. Cały dzień zeszedł czynnie; rycerze jednej chwili nie mieli do pogawędki, dopiero wieczorem, kiedy potem uznojeni zebrali się koło ognisk, kiedy zasiedli do wieczerzy, wtedy odpocząwszy, przypomnieli sobie »rycerza błękitnego« i dziwy o nim rozpowiadali: czynili najrozmaitsze przypuszczenia co do jego osoby, a ludzie królewscy słuchali ze strachem. Doszły te gawędki do uszu Władysława, który spytał nawet o to Chodkiewicza, ale ten i sam niewiele wiedział.

— Zrazu chciałem rozkazać, aby go wyszukali po lasach i wąwozach,— zakończył hetman,— boć pewna, że tu gdzieś niedaleko nas się ukrywa, ale potem zaniechałem zamiaru... Wszakże szkodliwy nam nie jest.

— I dobrzeście zrobili - odparł Władysław.— Szanujmy jego tajemnicę.

Na drugi dzień, zanim jeszcze słońce weszło, już Turcy szturm rozpoczęli. Pośpieszyli najpierw Zaporożcy, potem pułk królewski, za nim pancerni, i walka nanowo zawrzała. Po chwili, zupełnie jak dnia poprzedniego, na jednej z krętych ścieżek

ukazał się rycerz błękitny. Wpadł pomiędzy rycerstwo, jak piorun błysnął szablą i ku wrogom się rzucił; rycerstwo spostrzegłszy go, wydało okrzyk radości i cisnęło się za nim na Muzułmanów; kilku wszakże postanowiło mieć go na oku; na nic się to wszakże nie zdało, bo gdy trąby i kotły dały znak do odwrotu, rycerz błękitny gdzieś zniknął, i nikt nie umiał powiedzieć, co się z nim stało. I tak było potem już za każdym bojem; nie minął dzień, by Turcy nie szturmowali do obozu polskiego; wojska Chodkiewicza musiały staczać codzienne walki z Muzułmanami, a ilekroć walka zawrzała, zawsze zjawiał się ów rycerz i zawsze potem na hasło odwrotu przepadał bez wieści. Różnie gadano o tem, byli nawet tacy, którzy powiadali, że pod stalowym pancerzem ukrywa się duch pokutujący któregoś rycerza z pod Cecory, który zdradził hetmana nikczemnie, a uciekając z obozu, w falach Prutu śmierć znalazł... Straże utrzymywały, że odbywając czaty, nieraz przy świetle księżyca na krętej ścieżynie, z której wypadał zawsze »błękitny rycerz«, widzą jakąś postać niewyraźną, która ręce ku polom cecorskim wyciąga, jęczy, wzdycha i płacze.

Codzienne utarczki z wrogiem, trudy, niewygody obozowe wyczerpały wkońcu siły hetmana: dnia jednego rozeszła się smutna pogłoska, że stary wódz dogorywa. Wieść ta smutkiem głębokim przejęła każdego, bo wszyscy gorąco kochali hetmana.

Dnia 20 września, czując się gorzej, hetman zwołał rycerstwo do siebie; gdy wszyscy go oto-

czyli, dźwignąwszy się nieco z łoża, obrócił się najprzód do królewicza ze słowami pożegnania, potem do wodzów, podał każdemu rękę, a gdy ściskał dłoń Lubomirskiego, sięgnął po buławę, obok łoża leżącą, i podawszy mu ją, wyrzekł:

— Tobie hufce polecam.

Wzruszony Lubomirski skropił łzami rękę hetmana, a z nim razem wszyscy się rozpłakali, i chwilę słychać było tylko łkania w namiocie.

Chodkiewicz smutnem okiem powiódł po wszystkich.

— Nie płaczcie, — rzekł — jam już zasłużył na spoczynek. Jeśli chcecie dać mi dowód miłości, nie łzami mi ją okazujcie, ale tu, przy tem łożu przyrzeczcie, że będziecie służyć wiernie sprawie, której dotąd przewodniczyłem; że waśni, zazdrości, prywaty strzedz się będziecie. Zgrzeszyli wielce nasi bracia, zgrzeszyli niezgodą i brakiem wytrwałości, lekkomyślnem postępowaniem ściągnęli na kraj to straszne nieszczęście, którego my skutki teraz znosimy, — ale w mocy naszej winy ich naprawić, grzechy ich zmyć, oczyścić imię nasze... Rozpoczęliśmy zadanie chlubnie, ale jeszcze praca nieskończona, jeszcze cel nieosiągnięty, naprzeciw nas stoi jeszcze wróg potężny, waszem zadaniem oswobodzić od niego ojczyznę: ja tego już nie dokonam... Zaklinam więc was, działajcie zgodnie i bądźcie wytrwali. Zamknę oczy spokojnie, jeśli mi przyrzekniecie, że tego, którego za wodza wam wybrałem, słuchać będziecie, że pod rozkazami Lubomirskiego będziecie dalej walczyć odważnie, że nie pomyślicie o domu, rodzinie, dopóki wroga

ostatecznie nie zgnębicie... — Tu umilkł i wzrok pełen niepokoju zatrzymał na rycerstwie, obok jego łoża skupionem.

— Przyrzekamy — odparli jednym głosem zebrani.

Chory hetman uśmiechnął się, gasnące jego oczy błysnęły życiem; jak dogorywająca lampa, która przed skonaniem żywszym blaskiem strzela, tak Chodkiewicz dźwignął się nagle o własnej sile na łożu i czystym, donośnym głosem przemówił:

— Wytrwajcie, a Bóg da nam zwycięstwo!

To mówiąc, podniósł drżącą rękę do góry.

— Niechaj Pan wszech rzeczy błogosławi wam — dodał głosem uroczystym.

Rycerze, tłumiąc łkanie, poklękali wokoło łoża, a stary hetman z rękoma wyciągniętemi nad ich głowami, szeptał modlitwy.

Wtem u wnijścia do namiotu dał się słyszeć jakiś szelest. Chodkiewicz skończył właśnie modlitwę, więc wzrok w stronę, skąd szelest szedł, obrócił, — powstało rycerstwo i spojrzało w tymże samym kierunku i na wszystkich twarzach odmalowało się zdziwienie, a na niejednej coś jakby przestrach... Tam u wnijścia namiotu, wśród fałd rozchylonej firanki stał rycerz błękitny z przyłbicą dotąd spuszczoną, lecz całkiem bezbronny, nawet bez szabli u boku. Postał chwilę u wnijścia do namiotu, poczem skierował się do łoża hetmana.

Zebrani w namiocie usunęli się przed nim; zbliżywszy się do łoża, ukląkł przy nim.

— Hetmanie, — rzekł głosem stłumionym, —

pobłogosławiłeś rycerstwu, teraz rozgrzesz winnego... Jam jeden z tych, za których wy dziś pokutujecie..

Hetman spojrzał wzruszony, pochylił się do klęczącego i dłoń na jego ramieniu położył.

— Nie pytam o grzech twój — rzekł — widziałem cię w ogniu nieprzyjacielskim, widziałem, jak walczyłeś dzielnie... Dawne winy twoje zgładzone czynami obecnymi; w imieniu tego Boga, który przebacza pokutującym, w imieniu tej ziemi, której synem jesteś, rozgrzeszam cię i błogosławię...

To powiedziawszy, podniósł rękę w górę i nad klęczącym pokornie krzyż w powietrzu nakreślił, poczem zwolna opadł na posłanie. Błękitny rycerz powstał i zwrócił się ku wnijściu do namiotu, oczy wszystkich pobiegły za nim, lecz nikt go nie zatrzymał, nikt do niego słowa nie przemówił. Rycerz skierował się w krętą ścieżynę, połączoną z równiną, i znikł wśród krzewin, rosnących na niej gęsto, a nikomu na myśl nie przyszło pójść za nim.

Dopiero po niejakiej chwili otrząsnęli się z osłupienia zebrani w namiocie.

— Kto on? — poczęli pytać jeden drugiego. Żaden wszelako odpowiedzieć nie umiał.

— Wszakże wam powiedział, iż jest jednym z winnych – odezwał się słabym głosem hetman, — szanujcie jego tajemnicę.

Rycerze, uznawszy słuszność tych słów, rozeszli się w milczeniu do namiotów. Następny dzień minął bez walki; postanowiono odwieźć hetmana do Chocimia, gdzieby mógł mieć więcej spokoju

i wygody. Powolnym krokiem ruszył wóz z hetmanem przez obóz. Patrząc na oddalającego się, żołnierze płakali; zdawało się im, że widzą pogrzeb wodza, i nie myliły ich przeczucia.

W parę dni potem Karol Chodkiewicz zakończył pełne chwały życie. Wojsko dowiedziało się jednak o tem później, ponieważ Lubomirski zataił zgon hetmana, aby nie trwożyć żołnierzy.

*
* *

Po jasnem tle niebios wałęsały się białawe pierzaste obłoczki, miejscami zbiegały się w większe gromady, niby stada owiec, zbite razem, miejscami barwę szarą przybierały. Słońce wspaniale świeciło; skowronki unosiły się nad polami chocimskiemi wysoko, pod samem niebios sklepieniem, tak, że śpiew ich ledwo dolatywał do ziemi; Dniestr płynął poważnie, tocząc fale z cichym szmerem; jakiś dziwnie błogi spokój otaczał ziemię, spokój, który dozwala marzyć o szczęściu. Niestety, nie trwało to długo. Nagle w powietrzu rozległo się niemiłe krakanie kruków i cała ich chmura czarna, posępna ukazała się w górze; chwilę wrzeszcząc przeraźliwie, krążyły wysoko, potem spuściły się niżej i rozsiadły na drzewach, tu i owdzie rosnących na równinie.

Właśnie w tej chwili wyszedł z namiotu Jerzy Lubomirski z rotmistrzem Prusinowskim, smętnem okiem spojrzał po równinie, na której aż czarno było od ptactwa, i westchnął. Przed oczyma jego duszy przesunął się smutny obraz: pola za-

słane trupami, ciała ludzkie szarpane przez to ptactwo drapieżne.

— Straszną rzeczą jest wojna — rzekł — a jednak muszę ją toczyć; jutro będzie tu inaczej; nie darmo to ptactwo napłynęło w takiej liczbie, instynkt je sprowadził; ten żółty piasek poplami się znowu krwią; tysiące dziś żyjących jutro pod nim spoczywać będą. Kto wie, czy nawet dziś jeszcze boju nie stoczymy.

— I mnie się tak zdaje — odparł rotmistrz.

— To też zwołaj waszeć wszystkich, trzeba czynić przygotowania, aby nas nie zaskoczono.

— Idę natychmiast — rzekł rotmistrz i pośpieszył ku namiotom.

Niebawem plac począł się zaludniać; Lubomirski, zgromadziwszy wszystkich koło siebie, wydał stosowne rozkazy. Prusinowskiego z lekk jazdą wysłał na okopy, Kozaków po prawej stronie ustawił, Lisowczyków i gwardję królewicza po lewej. Władysław miał ochotę stanąć także w szeregach, ale odradził mu hetman, jako zbyt osłabionemu chorobą. Spodziewano się lada chwila napaści ze strony Osmana, bo Turcy mieli szpiegów licznych, nie wątpił przeto Lubomirski, że wiedzą już o śmierci Chodkiewicza, i że Osman nie omieszka skorzystać ze sposobności.

Nie omyliły go rachuby: jeszcze słońce nie wskazało południa, a już huk dział, jaki doleciał od namiotów muzułmańskich, oznajmił, że bój się rozpoczyna, w chwilę potem dzikie wrzaski zawtórowały działom.

— Allach! Allach! — zadrgało w powietrzu.

Cwałując na rosłych koniach, jazda turecka ukazała się w dali.

Z dala za nimi postępowały nieme, równe jak ściana szeregi zaprawionych do boju janczarów; w rękach mieli rusznice [1]), pałasze lub kopje, a w ustach każdego błyszczał długi jatagan [2]).

Jednocześnie kiedy ze strony obozu wystąpił nieprzyjaciel, zjawił się na polu rycerz błękitny, tam poskoczył, gdzie siły zdały mu się być najsłabsze. Janczarowie natarli właśnie na gwardję królewicza, tam więc stanął rycerz błękitny. Po krótkiej walce odrzucono wstecz wrogów. Nie zrażeni tem janczarowie natarli po raz wtóry, lecz musieli ustąpić ze stratą. Teraz wściekłość ich ogarnęła, ale jeszcze nie zwątpili: uchwyciwszy zębami ogromne swe noże, z wzniesionemi nad głową szablami, z wrzaskiem okropnym, po raz trzeci puścili się ku szańcom, bronionym przez gwardję; tym razem Polacy zachwiali się; spostrzegł to rycerz błękitny, skoczył naprzód. »Kto się cofnie, ten nikczemny« — krzyknął. Na te słowa, zwarły się znowu łamiące się szyki, i walka dalej trwała. Lubomirski widząc przebieg bitwy, posłał chwiejącym się świeży hufiec na pomoc; wzmocnione szeregi natarły śmielej, bój nie ustawał, a rycerz błękitny nacierał coraz dzielnej; szabla jego wciąż w górze migała, wciąż powiewa nad głowami innych błękitna wstęga jego szyszaka. Naraz znikło ramię, dźwigające szablę, a z niem razem

[1]) Rusznice — broń palna.
[2]) Jatagan — krzywa obosieczna szabla turecka.

znikła błękitna wstęga, tajemniczy rycerz zachwiał się na koniu i pochylił do jego grzywy; jeden z husarzy, obok walczący, spostrzegł to, skoczył ku niemu, podtrzymał i wyprowadził zręcznie z szeregów. Tuż przy polu, na którem bój się toczył, rosło kilka drzew rozłożystych, tam skierowali się obaj.

Gdy husarz zatrzymał się przy jednem z drzew, rycerz błękitny, zdjąwszy nogę ze strzemienia, chciał zejść z konia, lecz siły go opuściły i padł na ziemię. Husarz zdjął ranionemu przyłbicę i chciał już zdjąć koszulkę stalową, aby ranę przewiązać, gdy wtem spojrzał na twarz rycerza i wykrzyknął zdumionym głosem: Wacław!

Rycerz błękitny otworzył oczy, westchnął ciężko, spojrzał na klęczącego przed nim i podał mu dłoń.

— Wszakże zmazałem swe grzechy? — zapytał osłabłym głosem, poczem oczy jego zwarły się powtórnie.

Husarz przyłożył rękę do jego piersi.

— Żyje — szepnął z widoczną radością — Bogu niech będą dzięki.

Był to dawny znajomy Wacława. Był z nim razem pod Cecorą, wiedział o ucieczce, lecz sądził, że Prut Wacława pochłonął; ujrzawszy go znowu, ucieszył się.

— Ta krew zmyła twe winy — rzekł głosem wzruszonym — tyś czysty już i rozgrzeszony. — To mówiąc, dłoń leżącego uścisnął serdecznie, lecz Wacław nie czuł już tego uścisku.

Tymczasem bój toczył się dalej. Janczarowie

jeszcze walczyli, ale coraz słabiej, wreszcie zmierzch zapadać począł, a z nim reszta odwagi opuściła Turków; gdy ciemność ich otoczyła, mieszać się poczęli i uchodzić, zostawiając pole zwycięzcom: rzekłbyś, że czekali nocy, aby hańbę swą ukryć.

Cały kwiat młodzieży muzułmańskiej pozostał na polu, suta uczta czekała drapieżne ptactwo, to też głośnem krakaniem objawiało radość i zbiegało się wokoło trupów, trzepocząc z hałasem skrzydłami.

Tak skończył się bój pod Chocimem... Ugięła się nakoniec duma Osmana: śmierć najwaleczniejszych Janczarów i spahów [1]), jesienne chłody skłoniły go, iż rozpoczął rokowania o pokój. Trwały one dni kilka i już Lubomirski ściągnął wszystkie swe hufce do namiotów, umarłych pogrzebał, rannych umieścił bezpiecznie, a jeszcze układy trwały.

Wysłany do obozu sułtana Żurawiński, kasztelan bełski, i Jakób Sobieski, wojewodzic lubelski, mieli polecone, aby twardymi byli w układach. Osman zrazu próbował pogróżek, lecz widząc, że nie lękają się ich posłowie, sam zmiękł i pokój zawarł, obiecując, że będzie powstrzymywał Turków od napadów i łupiestwa; ze swojej strony położył wszakże żądanie, aby Rzeczpospolita powstrzymała Kozaków od napadów, co Żurawiński i Sobieski ochotnie podpisali, poczem, złożywszy hojne dary sułtanowi, podążyli z wesołemi sercami do Lubomirskiego.

Tak w jednym, jak w drugim obozie wszyscy

---

[1]) Spahi — jazda turecka.

radzi byli z zawartego pokoju. Turcy na znak radości namioty swoje oświetlili: całą noc gorzały różnobarwne lampy, całą noc brzmiała u nich muzyka, pląsały piękne niewolnice przed drzemiącymi spahami.

Wspaniały widok tworzył zdala muzułmański obóz, niby miasto rzęsiście oświetlone; rycerstwo polskie przypatrywało się temu z zajęciem, ranni nawet wyszli z namiotów.

V.

Było to w październiku, coś w ostatnich dniach tego miesiąca; po długiej słocie, deszczach, śniegu, zawiei, słońce zaświeciło wreszcie ziemi. Jeszcze tu i owdzie stały kałuże błota, wisiały krople wody na liściach, ale promienie słońca już w nich przeświecały; jeszcze tu i owdzie wałęsały się po niebie szare, posępne chmury, lecz usuwały się zwolna, i coraz więcej błękitu widać było; jeszcze chmury owe, uciekając na północ, sypały w drodze śniegiem, i leciuchne, drobne, białe płatki unosiły się w powietrzu, lecz co który dotknął ziemi, to nikł natychmiast.

Słońce świeci wesoło i ciekawie zagląda w okna dworu wojewody Poreckiego, a przy jednem z tych okien siedzi Regina i Alina. Obie przędą na kołowrotkach, obie pracują i milczą; pobladły znacznie i zeszczuplały przez ten rok, lecz na twarzy Aliny zawsze pogoda, na jej czole

spokój świeci, w oczach ciche zadowolenie. Białemi palcami kręci nić, na wrzecionie owiniętą, nóżką kółko porusza, a wzrokiem goni liście, miotane wichrem na podwórzu, to przenosi wzrok na siostrę, która siedzi obok niej, smutnie zadumana, lub na dziadunia, drzemiącego w fotelu przed kominkiem. Rok już minął od owego czasu, od owego strasznego dnia, w którym wojewoda wyrzekł w tej samej komnacie do wnuczek straszne słowa: »Nie macie już brata«. Ponury smutek zaległ od tego dnia dwór Złotego-pola, jedna Alina ożywia go; Regina co dzień posępniejsza, wojewoda co dzień ciężej wzdycha, już nawet pieszczota Aliny niezawsze go ożywi; całemi godzinami siedzi milczący w swojem krześle, zadumany. Alina nie lęka się jednak tego smutku, siada często u nóg jego i póty mu się przymila, wdzięczy, całuje kolana i ręce, aż wreszcie spojrzy na nią i pogłaszcze po głowie, a gdy się do niej uśmiechnie, wtedy szczęśliwa nad wyraz, wnet gawędkę rozpoczyna, pyta o to i owo. O! bo z Aliną zaszły teraz wielkie zmiany: dawniej umiała tylko mówić o swoich czubatych kurkach i kogutkach lub o swoich kwiatkach, dziś coś więcej ją zajmuje: pyta o losy bitew staczanych, o Chodkiewicza, o Turków, o najdrobniejsze szczegóły wyprawy. Wojewoda lubi o tem mówić, więc zapytany, ożywia się zaraz i odpowiada chętnie. Lubo Chodkiewicz daleko na bój wyruszył, przychodziły jednak kiedy niekiedy wieści do kraju o bojach, toczonych na polach Chocimia. Po wsiach i miastach krążyły rozmaite pisma, jak: »Poseł z Wołoch z obozu polskiego«, »Szpieg polski z Tu-

rek«, oraz inne, które donosiły obszernie o potyczkach, klęskach i zwycięstwach. Pisma te były rozrywane przez wszystkich chciwie, wojewodzie przysyłano je także i wówczas czytał je Alinie; wnuczka słuchała z natężoną uwagą, potem sama jeszcze przeglądała, jakby przekonać się chciała, czy dziadunio wszystko przeczytał.

— Coś na uczoną kobietę chcesz mi się pokierować, — przemówił wojewoda, uśmiechając się do niej z miłością — a może masz ochotę zostać rycerzem, bo coś wojna żywo cię zajmuje; szkoda, że chłopcem nie jesteś. — To powiedziawszy, westchnął ciężko, uśmiech, co błysnął na jego twarzy jak promień jesiennego słońca, znikł, i smutek na czoło powrócił. — Ród Poreckich nie wygasłby wtedy — dodał po chwili.

Alina pochyliła się z pocałunkiem do ręki dziadka.

— Ufajmy Bogu — szepnęła.

Była ona teraz otuchą wojewody, jego zdrowiem, siłą; jej pieszczoty, rozmowy z nią — dodawały mu chęci do życia, sam ją często przywoływał do siebie. I teraz oto dopiero co odeszła od niego; trzymała tak długo głowę na jego kolanach, tak długo u nóg jego siedziała, póki nie usnął; gładząc jasne jej sploty, wojewoda zdrzemnął się; ona wówczas wstała cicho, ostrożnie i siadła do kołowrotka, lecz praca nie idzie jej dziś jakoś sporo: co chwila odrywa wzrok od szarej nici i to przez okno patrzy, to na Reginę lub dziadka.

— Czy wierzysz w przeczucia? — spytała nagle siostrę, przestając obracać wrzecionem.

Regina podniosła na nią zdziwione spojrzenie.

— Czy wierzę?... sama nie wiem — odparła wahająco — nie doznawałam ich nigdy, — lecz dlaczego pytasz o to?

— Bo mi tak dziś wesoło na duszy, myślę, że chyba nas co dobrego spotka.

Regina westchnęła.

— Nas co dobrego — odparła, wstrząsając głową z powątpiewaniem — o, nie spodziewam się już niczego dobrego w życiu. Odkąd Wacława niema, nic mnie już ucieszyćby nie mogło.

— Więc ty go kochasz zawsze? — spytała z uśmiechem Alina.

Regina zarumieniła się.

— Tamtego Wacława, dumnego, dzielnego, bez plamy, bez skazy, kocham zawsze, siostro — z mocą odrzekła.

— A gdyby tamten powrócił?

Regina westchnęła.

— Umarli nie powstają, — szepnęła — tamten Wacław nie żyje.

— Wiara cuda czyni — rzekła Alina.

Siostra spojrzała na nią badawczo, lecz Alina nic więcej nie powiedziala, zaczęła napowrót kręcić nić i obracać kółko. Kołowrotki zawarczały, i znowu dziewczęta siedziały milczące: Regina posępnie zadumana, Alina niespokojnie roztargniona. a wojewoda drzemał tymczasem koło kominka.

Wtem poza oknami coś zatętniało, kołowrotki głośniej zawarczały, obie siostry podniosły się od nich jednocześnie i pchnąwszy okno, wychyliły się przez nie.

— Na gościńcu ktoś jedzie — rzekła Regina, wskazując ręką szeroką drogę, którą naprzeciw okna widać było.

— Może do nas — odrzekła Alina, i żywe rumieńce upiękniły jej twarzyczkę.

Na gościńcu widać było w istocie jeźdźca, który jechał stępa.

— To ktoś z rycerstwa — szepnęła Alina.

— Widzę — odparła Regina, opierając się o ramię siostry — w istocie jedzie do nas — dodała ledwo dosłyszalnym głosem.

— Do nas — powtórzyła głośniej Alina i bardziej jeszcze wychyliła się przez okno.

Jezdni właśnie dojechali do ścieżyny, która z gościńca wielkiego prowadziła do dworu wojewody, wjechali w nią i niebawem stanęli przed bramą; zeskoczyli na ziemię i weszli na podwórze, oddając rumaki pachołkom.

Rżenie konia zbudziło wojewodę: podniósł głowę, ręką czoło przetarł.

— Czy gościa mamy? — spytał niechętnie.

— Prędzej poseł od kogoś, — odparła Alina — jakieś pismo wydobywa z zanadrza, pobiegnę zapytać, kto on i z czem przybył.

To powiedziawszy, wybiegła z izby, nie czekając na pozwolenie.

Regina powiodła za nią niespokojnym wzrokiem, teraz i ona doznała niby przeczucia, serce jej w piersiach zakołatało: nie wiedziała wszakże, czy z radości, czy z trwogi.

Niebawem powróciła Alina, blada i zmieszana, niosła jakiś papier.

— List od hetmana Lubomirskiego — rzekła, śpiesznie podchodząc do dziadka.

Wojewoda wyciągnął rękę, wziął papier i rozłamał pieczęć gorączkowo, on także, nie wiedzieć czemu, uczuł, że mu serce mocniej bije... Milczenie izbę zaległo, wojewoda czytał uważnie, dziewczęta z dala niespokojnie śledziły wyraz jego twarzy; rade były módz przeniknąć, co ów papier zawiera, ale przerywać pytaniem dziadkowi nie śmiały; nareszcie wojewoda podniósł głowę.

— Bogu niechaj dzięki będą — rzekł poważnym, uroczystym głosem. — Pokój z Turkami zawarty, zwycięstwo przy nas, to właśnie pisze mi Lubomirski.

— I nic więcej — odezwała się Alina tonem zawiedzionej.

Wojewoda uśmiechnął się pobłażliwie.

— I coś jeszcze dla was dziewczęta — dodał. — Lubomirski prosi mię, abym przyjął wracający jego oddział i pozwolił mu spocząć dzień jeden pod naszym dachem. Poleca mianowicie jednego rycerza, który odznaczył się wielką odwagą, dziwne tylko, że nazwiska mi nie mówi, powiada, że go drudzy zaprezentują. Poznacie zatem dzielnego żołnierza, był ranny ciężko w jednej z bitew, już dziś rana zagojona, lecz jeszcze jest mocno osłabiony; wódz życzy sobie, abym go zatrzymał u siebie, dopókąd całkiem nie wydobrzeje.

Wojewoda mówił to wszystko, wzrok trzymając utkwiony w ów papier, więc nie widział, co za wrażenie wiadomość udzielona wywarła na Alinie: pobladła nagle, a potem poczerwieniała jak

wisienka, lecz to wrażenie wnet znikło. Gdy wojewoda podniósł wzrok na wnuczkę, już spokojna, uśmiechnięta, zapytała głosem zwyczajnym, czy na przyjazd gości nie poczynić przygotowań.

— Pobiegnijcie do kuchni i wydajcie rozkazy, by wieczerzę przygotowali sutą i smaczną, — rzekł dziadek — takich gości uczcić należy; pewno dziś jeszcze rycerze zjadą: hetman pisze, że poseł na parę tylko godzin oddział wyprzedzi.

To powiedziawszy, pośpieszył do swojej komnaty przebrać się w kontusz paradny. Wiadomość, że klęska cecorska pomszczona, hańba zmyta, podniosła go na duchu. On tak kraj kochał gorąco.

Wojewoda nie zauważył wrażenia, jakiego doznała Alina, nie uszło ono jednak baczności Reginy; zaledwie obie siostry próg przestąpiły, dążąc do kuchni, zbliżyła się do siostry i kładąc rękę na jej ramieniu, zapytała:

— Alino, czy nie wiesz, co to za rycerz, o którym hetman pisze? Ukrywasz coś przede mną.

Alina spuściła oczy, była widocznie zakłopotana.

— Nic nie wiem — odrzekła — wierzaj mi, nic ci nie mogę powiedzieć; wszakże niezadługo tu będą, zobaczysz wtedy.

Regina splotła obie ręce.

— O! gdyby to był Wacław — szepnęła. — Lecz nie, to być nie może, nie zasłużyliśmy na takie szczęście, odepchnęliśmy go tak okrutnie. — Tu głowę zwiesiła na piersi, i łza wielka spadła z jej oczu. — Gdybyś ty wiedziała, Alino, com ja

wycierpiała od tego dnia strasznego, — dodała silniej — jakie walki stoczyłam z sobą, a potem jakie wyrzuty czyniłam sobie, żem ci odradziła, żem cię nie puściła do niego!

Alina zwróciła się żywo do siostry, objęła ją ramieniem i uścisnęła czule.

— Nie płacz, — rzekła — może to on wraca, tymczasem zajmijmy się wieczerzą, bo goście, co jadą do nas, głodni pewno.

Regina otarła łzy.

— Chodźmy — rzekła, i poszły obie.

Właśnie załatwiły się w kuchni i dążyły do izby, by przystroić się nieco, kiedy dał się słyszeć na dziedzińcu tętent, tym razem wszakże o wiele głośniejszy.

Regina i Alina, zapomniawszy o przebraniu, wypadły na ganek, spojrzały ku drodze i obie zarumieniły się... Tam z dala naprzeciw nich widać było kilkunastu rycerzy, konie ich rżały, szable dźwięczały, jechali równo, parami, a przodem postępował jeden, mając na szyszaku wstęgę błękitną.

Dziewczętom serca zabiły.

— To pewno ów bohater — szepnęła Alina i drżąca oparła się na ramieniu siostry.

— Zapewne — odrzekła Regina.

Tymczasem zbrojni goście zbliżyli się do mostu, brama była otwarta na ich przyjęcie; nie zatrzymali się u wrót, wjechali na dziedziniec.

Teraz twarzom ich można się było przypatrzeć: wszyscy byli młodzi i dorodni, tylko jadący

przodem był bardzo blady; obie siostry postąpiły ku schodkom.

— Alino, to Wacław — szepnęła drżącym głosem Regina i zbiegła ze schodów, Alina podążyła za nią.

Rycerz błękitny zeskoczył z konia, podbiegł, wyciągnął ramiona do dziewcząt, one razem rzuciły się ku niemu. Wacław objął siostry jednym uściskiem, poczem puścił Reginę, lecz Alinę jeszcze zatrzymał.

— Aniele mój zbawczy — szepnął, ujmując jej rękę i do ust podnosząc.

Ona uśmiechnęła się.

— O jakżem szczęśliwa, o jaki Bóg dobry! — szepnęła, poczem obróciła się do siostry.

— Regino, podaj mu ramię — rzekła — wprowadź do domu, i panów poproś także, ja po dziadunia pobiegnę, uprzedzę go.

I nie czekając odpowiedzi, nie widząc pokłonów rycerzy, którzy właśnie nadciągnęli, zwinna jak ptaszek, odleciała z ganku.

Wystrojony w najparadniejszy kontusz, wojewoda Porecki siedział w swej alkowie. Losy kraju obchodziły go żywo, więc w pierwszej chwili otrzymana wiadomość o zwycięstwie odniesionem, o zawartym pokoju ucieszyła go serdecznie, lecz teraz wnuk stanął mu w pamięci, i gorycz w serce wstąpiła: tylu dziś ojców z dumą, z radością synów do łona przyciśnie, a on, on musi ze wstydem skłonić głowę na piersi; tylu dziś rycerzy witanych będzie błogosławieństwem przez naród, a wnuka swego pomiędzy nimi nie znajdzie; tylu

młodzieńców powraca chwałą okrytych w progi domowe, a gdzież jest Wacław?

Zachodzące słońce purpurowym blaskiem oblewało jego głowę i uwydatniało dwie głębokie zmarszczki, co wzdłuż jego czoła się rysowały. Wtem otwarły się drzwi, i ukazała się w nich Alina, rozpromieniona, jakby posłanniczka nieba. Chmurne czoło dziadka nie przestraszyło jej, zbliżyła się do niego żywo, przyklękła u nóg jego i położywszy małą rączkę na splecionych jego dłoniach, rzekła:

— Dziaduniu, rycerze już przyjechali.

Wojewoda ocknął się z zadumy, spojrzał na wnuczkę, i uśmiech goryczy skrzywił mu usta.

— Oj, dziewczęta, — rzekł, wstrząsając głową — wszystkie wy jednakie. — Tu westchnął i chciał dźwignąć się z krzesła, Alina zatrzymała go.

— I ów bohater jest z nimi — szepnęła, błagalnym wzrokiem patrząc mu w oczy.

Wojewoda pogłaskał złotą jej główkę.

— Cieszysz się, że zasiądziesz do jednego stołu z bohaterem — rzekł tonem łagodnym.

— A wiesz, dziaduniu, kto on taki?

— Dowiemy się zaraz, towarzysze zaznajomią go z nami.

Alina pochyliła się z pocałunkiem do ręki dziadka.

— Ja już wiem, kto on — rzekła nieśmiało — to Wacław...

— Wacław! — krzyknął wojewoda i porwał się z krzesła. W tejże chwili wszedł do alkowy Wacław i padł do kolan wojewody.

— Czyż dzisiaj przyjmiesz mię, panie, w progi swego domu? — zapytał. — Czy mogę się spodziewać rozgrzeszenia?

Wojewoda, zamiast odpowiedzi, pochylił się do wnuka, objął w ramiona i do serca przycisnął; kiedy pierwsze wzruszenie minęło, dopiero wtedy podniósł wzrok w niebo i rzekł:

— Panie! dzięki Ci, żeś mi go oddał.

Następnie przypomniał sobie gości, czekających przed domem, zwrócił się do nich i powitawszy serdecznie, zaprosił do izby. Przy wieczerzy Wacław opowiadał, jakim sposobem dostał się na pola chocimskie.

— Jeśli dzisiaj jestem tutaj, jeśli sumienie mam oczyszczone, nie moja to zasługa, ale kogoś innego — zaczął, patrząc z wdzięcznością na Aline. I począł opowiadać, jak odepchnięty przez [illegible]a, już postanowił do Niemiec ujechać, gdy go choroba zatrzymała; jak niespodzianie zjawiła się u jego łoża Alina, lecz on odepchnął ją szorstko; jak niezrażona tem, przez czas choroby troskliwie go pielęgnowała, a gdy przyszedł do zdrowia, nawracała i dodawała otuchy, aż nakoniec wymogła na nim przyrzeczenie, że gdy pierwsza sposobność służenia krajowi się nadarzy, wstąpi w szeregi rycerskie pod obcem mianem i póty nazwiska swego nie wyjawi, póki krwią własną winy nie zmaże.

— Niebawem dowiedziałem się — ciągnął dalej — że Chodkiewicz pośpieszył pod Chocim, więc pożegnawszy Alinę, podążyłem do stolicy; tam dostałem się do króla, wyznałem mu, com przewinił i jak chcę grzech mój zmazać. Prosiłem go o po-

zwolenie służenia krajowi, a on nietylko mi przebaczył, ale dał jeszcze glejt bezpieczeństwa [1]). Dojechawszy bez przeszkody do Chocimia, w nocy przekradłem się do poblizkich lasów, z tych do wąwozów, jakimi do obozu się dostawałem; przyłbicę ustroiłem wstęgą błękitną, którą mi dała Alina, jako symbol wierności. Ukryty wśród zarośli, gdym strzały posłyszał, śpieszyłem swoim z pomocą. Jak walczyłem, czy zmyłem dawne grzechy, o tem pewno pisał hetman, o tem mówić nie będę, to tylko nadmienię jeszcze raz, że jeśli hetman zdał chwalebną o mnie relację, jeślim rozgrzeszony, jeśli będę mógł jeszcze służyć ojczyźnie, nie moja to zasługa, lecz tej, która jak siostra kochająca, jak kobieta z sercem, nawet winnego potępić nie umiała, ani odwrócić się od niego obojętnie.

Wzruszona temi słowami Alina, podniosła wzrok pełen miłości na brata i uśmiechnęła się do niego.

— Nietylko moja w tem zasługa, ale i dziadka — rzekła — on z pewnością wiedział o moich wycieczkach, a jednak mi nie bronił.

— Tak jest, wiedziałem, gdzie jeździsz co rano, — odezwał się wojewoda — a nie broniłem ci: odwaga twoja, miłość gorąca dla brata wzruszyły mnie, srogim być nie umiałem. Chodź, niech cię uściskam za to, coś uczyniła, jam tobie winien, żem wnuka odzyskał.

Alina wstała żywo, przybliżyła się do dziadka

---

[1]) Glejt bezpieczeństwa — list bezpieczeństwa dla winowajcy, który pragnie się uniewinnić lub zmazać winę.

i klękła u nóg jego, a on na białem jej czole złożył pocałunek.

Tegoż jeszcze wieczora Magdalena i Marta powitały odzyskanego panicza, tegoż jeszcze wieczora przeniesiono z lamusu rzeczy Wacława do dawnej jego izdebki. Nazajutrz rycerze pożegnali dom wojewody Poreckiego. Wacław został przy rodzinie, a przy troskliwej opiece obydwóch sióstr wkrótce całkiem powrócił do sił i zdrowia. Znowu w Złotopolu życie płynęło swobodnie i wesoło, i znowu twarze jego mieszkańców były pogodne a pieśni rozlegały się przy kołowrotkach.